



## PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

**№ 19.** Warszawa, dnia (11) 29 Maja 1876 roku. **Rok 12.**

CENA PRENUMERATY

| Warszaw. z odn. do domu | | na prow. w Cesar. i Królest. | |
|---|---|---|---|
| rocznie | rs. 6 k. „ | rocznie | rs. 8 k. — |
| półrocznie | „ 3 „ „ | półrocznie | rs. 4 k. — |
| kwartalnie | „ 1 „ 50 | kwartalnie | rs. 2 k. — |
| miesięcznie | „ „ 50 | | |

w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10.
w Galicyi Złr. 11 cent. 50.
w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY I EKSPEDYCYA
PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.




# MUZYKA.

Powiadają iż gród nasz zalicza się do miast bardzo muzykalnych, czy nawet najmuzykalniejszych. Poniekąd da się to usprawiedliwić. Posiada bowiem w swym łonie stały teatr opery, gdzie prócz miejscowych śpiewaków, corocznie produkuje się towarzystwo koczujących włochów — dalej posiadamy dość liczny szereg kompozytorów jak i egzekutorów, pomiędzy którémi znajdzie się wiele wybitnych i niepoślednich talentów. Istnieje przytem Towarzystwo Muzyczne, mające na celu zachęcenie i dopomaganie młodym i poczynającym talentom; jako też rozszerzenie dobrego smaku w publiczności — dodawszy do tego wszystkiego znaczną liczbę poranków i wieczorów muzycznych, otwierających chętnie podwoje tak poczynającym jak i skończonym, tak swojskim jak i obcym adeptom sztuki, otrzymamy obraz w zupełności usprawiedliwiający zdanie na początku niniejszego artykułu przez nas postawione.

Lecz pomimo tych wszystkich warunków i pozorów naszej muzykalności, pomimo iż w każdym prawie domu znajduje się fortepian i co najmniej jeden z członków rodziny grający, widnieje niemal na każdym kroku brak dobrego smaku. Przytem zupełna niekompetencya w sądach, tak chętnie, głośno i z całą pewnością siebie wygłaszanych.

Prawie każdy poczynający naukę muzyki czy też śpiewu, z dziwną śmiałością nadaje sobie prawo wydawania stanowczych zdań o muzyce i kompozytorach, o śpiewakach i wszelkiego rodzaju egzekutorach muzycznych; niedosyć na tem, często zdarzało nam się spotykać ludzi zupełnie nieznających muzyki, nieposiadających nawet pewnej intuicyi, ażeby mieli prawo wyrzec: podoba mi się lub nie, zacięte staczających dysputy o pewnym utworze muzycznym lub o wykonaniu takowego. Zaiste wydaje się nam to dziwnem i niezrozumiałem dla czego o żadnej ze sztuk pięknych, tak chętnie i śmiało u nas nie mówią jak o muzyce i dla czego nie tak łatwo w ocenianiu innych sztuk pięknych stawiają się na piedestale kompetencyi.

Przyczyny tego, że tak powiem, muzycznego zuchwalstwa szukać będziemy w braku estetycznego wykształcenia i tej prawdziwej chęci i zamiłowania do muzyki, która popycha nas ażeby głębiej nieco sięgnąć i wszechstronnie a gruntownie ją poznać.

Cała ta fala muzykalności, która na nas spadła, a która szczególniej od pewnego czasu się spotęgowała, wydaje się nam być jakby tylko jakimś chwilowym szałem — modą — a którą powoduje łatwość, chęć szybkiego popisania się i pewnego wywyższenia, na jakim słusznie prawdziwy talent nas stawia. Brak prawie zupełny literatury muzycznej, a którą u nas głównie stanowią sprawozdania muzyczne, od czasu do czasu w naszych czasopismach zamieszczane, nie małą jest też przeszkodą w uzupełnieniu muzykalnego wykształcenia. Przedmiot to u nas prawie zupełnie nowy, a przedstawiający taką niewyczerpaną skarbnicę, zaledwie kilku liczy przedstawicieli, którym nie mała należy się zasługa.

Francuzi i Niemcy daleko nas pod tym względem prześcignęli, znaczną bibliotekę tworzą ich dzieła muzyce poświęcone, między którémi wiele się znajdzie zupełnie wyczerpujących i niezmiernej wartości. Trudno zaiste pojąć, dla czego dotąd u nas tak mało zrobiono pod tym względem. Czyż nie posiadamy znacznej liczby kompozytorów, z pomiędzy których wielu zyskało imię i uznanie po za granicami kraju. Czyż nasza swojska biblioteka muzyczna nie zawiera dostatecznej ilości dzieł niepośledniej wartości i śmiało mogących walczyć o lepsze z takiemiż utworami cudzoziemskiemi. Dla czego więc dotąd przedmiot ten był zupełnie zapomniany i dla czego dotąd nie posiadamy ani jednej historyi muzyki naszego kraju; trudno zapewne odgadnąć. Bowiem to co znajdujemy w dziełku Łady lub Karasowskiego, bez wątpienia chlubę im przynosi, lecz nie jest wystarczającem i nieuzupełnia potrzeby, która dziś silnie uczuwać się daje.

Mamy więc nadzieję iż którykolwiek z panów literatów muzycznych, chętnie poświęci kilka lat pracy na skompletowanie podobnego dzieła, a o ile się zdaje biblioteka naszego teatru wieleby pod tym względem mogła dostarczyć materyału.

Podniesienie u nas literatury muzycznej przyczyniłoby się niewątpliwie do rozszerzenia wiedzy muzycznej, a tem samem, rzadziej dałyby się słyszeć nieoględne i bezzasadne sądy o muzyce; dowiedzianoby się wówczas

iż muzyka jest nauką, by więc coś o niej wyrzec, uczyć się jej przedewszystkiem potrzeba.

Lecz z poznanie muzyki jako nauki czyli poznanie gramatyki muzycznej jeszcze dla nas nie jest wystarczającem. Muzyka jest sztuką i zarazem najsubtelniejszą i najidealniejszą poezyą, mającą piękno na celu, wypowiadającą swoje uczucia przez tony, a co ją czyni kosmopolityczną; jakkolwiek ten kosmopolityzm muzyki odnosi się tylko do tego pojęcia, iż muzyka nie staje się własnością pewnego narodu, jak to ma miejsce z poezyą, której materyałem jest mowa. Muzyka pomimo cech często czysto narodowych, jest zrozumiałą zarówno dla wszystkich tych ludzi, którzy posiadają wrodzoną intuicyę — a to zrozumienie i pojęcie o muzyce wzrasta w nas jeśli jeszcze łączymy w sobie wykształcenie estetyczne. Czyż np. „Halka“ Moniuszki nie będzie zarówno piękną dla Włocha jak i Polaka z tą tylko różnicą, że w tym ostatnim obudzi ona prócz uczucia piękna, inne jeszcze uczucia; że mu, być może, uprzytomni ubiegłe chwile i strzechę naszych praojców. Widzimy więc z tego, jak wiele potrzeba posiadać warunków ażeby krytykować dzieła lub wykonawców muzycznych — tem więcej iż jednym z najniezbędniejszych do wydania jakiegokolwiek sądu o muzyce jest intuicya z którą urodzić się już potrzeba, tej bowiem nigdy się nie nabywa. Zapewne że pracując wiele i wiele słysząc dobrych wzorów, możemy do pewnego stopnia obudzić w sobie zamiłowanie i wyrobić w pewnym stopniu dobry smak, lecz niestety to wszystko nie zastąpi tego talentu, którym matka natura nas obdarza a który daje nam możność dostrzegania prawdziwego piękna.

Muzyka tak potężnie na nas oddziaływająca, będąca panią naszych uczuć, władnąca naszym sercem, posiadająca możność wyciśnięcia nam często łez smutku i boleści, to znowu radości i szczęścia, zdolna obudzić najdroższe wspomnienia minionych chwil młodości, drogich miejsc i okolic i te tak żywo nam uprzytomniająca; będąc tak potężną iż często najtwardsze serca porusza; wytrąca miecz z ręki zbrodniarza; zda się nas napełniać lepszą myślą ku dobremu i szlachetnemu skierowaną, czyż niepowinna zajmować w naszym kształceniu umysłu i serca niepośledniego miejsca? Czyż nie zasługuje na to by ją gruntownie i z zamiłowaniem uprawiać?

Niestety, mało znajdziemy wybranych, którzy całą donjosłość i znaczenie muzyki pojmują a nawet pomiędzy adeptami sztuki mało znajdujemy prawdziwych artystów. Mianem artysty na dobre rozszafowaliśmy się i nadajemy je chętnie każdemu, który nieledwie na nazwę rzemieślnika muzycznego zasługuje.

Wyraz ten artysta, używany jest najczęściej, po prostu dla odróżnienia rodzaju zajęcia lub stanowiska w hierarchii społecznej zajmowanego, umieć tylko potrzeba i należy rozróżnić te dwa jednobrzmiące wyrazy. Artyści jakich chce mieć sztuka i prawdziwi tejże kapłani, również jak i poeci już się rodzą. Często bardzo można dojść w pewnym muzykalnym kierunku do znacznej biegłości i posiadać gruntowną znajomość muzyki a to wszystko jeszcze nie wystarcza, byśmy mianem prawdziwego artysty mieli prawo się nazywać. A znów z drugiej strony, w człowieku nieraz zupełnie prostym, bez żadnego tak umysłowego jak i estetycznego wykształcenia spostrzegamy ten dar niebios, tę świętą iskrę, która starannie rozniecana przez sumienną pracę i wiedzę, dorasta do bezgranicznych nieraz rozmiarów i potęgi geniuszu.

Tak kompozytor jak i wykonawca, prawdziwi artyści, cechują swoje produkcye jakimś niewysłowionym czarem piękna i natchnienia, który podnosi i uzacnia naszego ducha. Cóż potrafi nas więcej skruszyć, oderwać myśl naszą od świata a zwrócić ją ku Stwórcy wszech rzeczy, jeśli nie natchniona muzyka w świątyni Pańskiej — wtedy to znajdujemy chwilę prawdziwej cichej i wzniosłej modlitwy, która nas umacnia i dodaje odwagi do stawienia czoła wszelkim nieodłącznym a nieraz ciężkim i bolesnym kolejom naszego życia. *J. S.*

---

## ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w czynie.

XVIII.

W corocznej u nas powodzi koncertowej, ukazują się czasami świetne meteory muzyczne. Do takich niewątpliwie zalicza się p. A. Essipow. Artystka ta w całym znaczeniu tego wyrazu, udarowała nas dwoma koncertami, z których jeden poświęciła dobroczynnemu celowi.

Nie bez słuszności p. Essipow zaliczana jest dzisiaj do rzędu najznakomitszych wirtuozów fortepianowych. Gra jej pozbawiona wszelkich z góry obliczonych efektów i obałamucającej brawury, płynie czarującym śpiewem, nacechowanym niewysłowionym kobiecym wdziękiem; dodawszy do tego nadzwyczaj elastyczne i delikatne, że tak powiem, jedwabne uderzenie. Przy niepospolitej biegłości zapomnieć można iż się słucha tak drewnianego instrumentu, jakim jest fortepian. Tony zdają się być ze sobą połączone, co melodyi nadaje konieczną ciągłość, a o którą tak trudno w fortepianie. P. Essipow przytem nie mało zwraca uwagi na charakter utworów, zachowanie którego, we wszystkich a tak różnych utworach odpowiednio swojemu niepospolitemu talentowi umiejętnie przestrzega. Przy takich więc warunkach można śmiało być pewnym powodzenia w najpierwszych stolicach Europy, a gdzie podobno p. Essipow dawała już się słyszeć zdobywając zasłużoną sławę, do której też i Warszawa akże swój listek dorzuca.

* * *

Pięćdziesięcioletnia rocznica śmierci autora „Maryi“ Antoniego Malczeskiego przypadła dnia 2-go maja r. b. Społeczeństwo nasze chętne do nagradzania talentów artystycznych, nie zawsze tak skwapliwie dąży ku uczczeniu pamięci autorów literackich i poetów. Dotąd autor „Maryi“ nie miał żadnego pomnika, a co więcej niewiadomo dokładnie w którem mianowicie miejscu na cmentarzu powązkowskim spoczywają zwłoki jego. Za staraniem p. Skimborowicza złożonym wprawdzie został skromniutki kamień z napisem lecz w przypuszczalnem miejscu grobu Malczeskiego. Czasby był teraz bardzo właściwy położenia pomnika wspanialszego utalentowanemu poecie. Dowiadujemy się właśnie, że Towarzystwo zachęty sztuk pięknych postanowiło wykonanie pomnika Malczeskiego podać jako przedmiot do konkursu rzeźbiarskiego na rok 1876 r.

* * *

Na Filadelfijską wystawę siedemdziesięciu wystawców z Królestwa Polskiego posłało swoje okazy. Porcyjka to nie mała i godnie kraik nasz reprezentować będzie.

Wiele bardzo osób wybiera się także od nas na tę wystawę, nie zważając na słoną i mglącą podróż przez ocean Atlantycki. Zapewne znajdą się przedsiębiorcy, którzy ułatwią pod wieloma względami podróżnikom naszym tę drogę, przez urządzenie antrepryzy na zbiorową podróż.

* * *

Dzisiejsza wiosna przybyła w szatach dziwnej obojętności tak dla ludzi jak i natury, nie zważając na miłośników sielankowego piękna, zieloności, woni i kwiatków.

Majówki, Saska kępa, Wilanów, Bielany i inne okolice naszej starej Warszawy tęsknią już zapewne za miłemi swojemi gośćmi. Ale cierpliwości, nie smućcie się drogie i wierne przyjaciołki i przyjaciele nasi, wkrótce wybije błoga godzina odwiedzin... Oczekujcie więc nas, uprowidowani w bogate zapasy i zasoby materyałów spożywczych, byle dobrych i niedrogich. Bo chociaż podniebienia i żołądki na świeżem powietrzu bywają czulszemi, to wszakże kieszeń zawsze jednaka..... niezbyt obfita.

* * *

W niedzielę ubiegłą rozległy się pierwszy raz w Dolinie Szwajcarskiej dźwięki muzyki Fliegiego, orkiestra zaś damska przeniosła się do Tiwoli.

---

## NIEWOLNIK.

SZKIC POWIEŚCIOWY.

(Dalszy ciąg).

Karol z rumieńcem wstydu zaczął przeglądać jakąś książkę.

— Jednem słowem, Abramek był tutaj. Czy rodzice o tem wiedzą?

— Nie jeszcze, czyżbym zdolny był zdradzić się! Chciałem cię tylko ostrzedz, ciągnął z faryzejskim uśmiechem. Abramek nie zastawszy cię zaczął mię rozpytywać o różne szczegóły twego stosunku do rodziców kie-

dy ojciec będzie? zwyczajnie żyd.

—Cóż więcej masz mi powiedzieć? mruknął przez zęby Karol zagryzając usta.

— Nic. Ale jak też ty możesz robić tak śmiałe pożyczki i na co ty wydajesz tyle pieniędzy?

— Jeżeli nic więcej nie masz mi do powiedzenia, to możesz sobie odejść.

— O mój drogi! z głuchem oburzeniem odparł Kostuś. Tylko bez tych impozycyj. Rad bym wiedzieć kto komu teraz imponować może!

— Zapewne chciałbyś mieć zupełne prawo do imponowania mi, prawda? zawołał Karol odrzucając od siebie trzymaną w ręku książkę. Spiesznie dobył pugilares i wyjął zeń kartkę złożoną w formie listu.

— Znasz to pismo? Zaczął czytać półgłosem: „Dziś koniecznie wyszukaj wiadomego listu między papierami ojca. Dziś koniecznie bo inaczej cała sprawa przepadnie a z nią to co wiesz.“ Czy nie przepadło „to co wiesz“ tego nie wiem, ale że szanowny kuzynek gorliwie pomagał ojcu w szukaniu owego listu gdy się *gdzieś zatrząsł*, to pamiętam, mówił Karol wpatrując się w zbladłego kuzynka, usiłującego wzrok jego przetrzymać czelnością.

—Nie chcę już dłużej tej nikczemnej umowy domyślnej między nami. Nic już nie mamy wspólnego, tylko się strzeż żeby druga podobna kartka nie wpadła w moje ręce. Weź ją sobie.

Kostuś, milczkiem schwycił go za rękę marmocąc o wdzięczności. Karol odepchnął go.

— Za całą wdzięczność, zostaw mię samego, rzekł i pośpiesznie siadł do pisania. Dochodził go dźwięk galopady, suwanie nogami i wesoły głos Kostusia z sali, ale prawdopodobnie nie słyszał tego wszystkiego. Z gorączkowym pośpiechem heroicznego postanowienia rozpoczął list do ojca. Nie ważył słów i nie namyślał się nad treścią. Chwilami rumieniec wstydu oblewał mu twarz i czoło, i łza zabłysła mu w oczach. Wstawał wtedy, przechodził się po pokoju, zatrzymywał się przed małym portrecikiem matki zawieszonym nad łóżkiem.

Chciał może z swemi czystemi myślami biegnąć do wspomnień? Jego wspomnienia były biedne, ale któż jest tyle ubogi, aby w nich nie upatrzył jakiej kropelki rosy niebieskiej grającej barwami tęczy, kropelki choćby, droższej nad perły! Nie, Karol czuł się wielkim w myślach swoich, on wstydził się schylić ku przeszłości, gdzie nic nie ciągnęło go potęgą uczucia. Jeśli powracał myślą w smutne puste domowe ściany, to tylko aby stanąć wśród nich kiedyś z podniesionem czołem, by tam wprowadzić świat swój własny, świat piękny co by je zapełnił i uszlachetnił. Jeśli się korzył wyznając prawdę tak jak ją wyznawał przed sobą, jeśli pragnął zmazania winy, to tylko na to aby podnieść się potem i bez kamienia wstydu iść w jawności drogą „do gwiazd.“ Uznawał powagę rodzicielskiej władzy, bo nie buntu pragnął, lecz prawdziwego podniesienia się i odrodzenia.

Nazajutrz o świcie wybiegł Karol z mieszkania. Nigdy tak pięknym nie wydał mu się świat. Raźny i wesoły, przebiegł puste uliczki miasta, życzliwem spojrzeniem witając ludzi stających do pracy dziennej, serdecznie pozdrowił nieznajomego stolarza stającego do warsztatu z piosenką na ustach.

— A co to robicie panie majstrze! zawołał spoglądając przez otwarte okno.

— Kołyskę paniczu, kołyskę.

— Dobrze że nie trumnę!

— A czemu?

— Zła wróżba — majsterku.

— Każda praca jest dobrą wróżbą bo wróży zapłatę — byle uczciwa...

— Zawstydziliście mię majsterku. Ja też w taką tylko wróżbę wierzę.

Pozostawiwszy za sobą piosenkę stolarza i świst jego hebla, Karol spieszył do mieszkania Zawady. Spostrzegł go w ogrodzie z książką w ręku.

— Dzień dobry, zawołał popychając furtkę. Pilno mi było do ciebie — chcę się pochwalić. Jak też uważasz mój pierwszy krok na dobrej drodze? Masz — czytaj to, rzekł podając mu list wczoraj napisany. Sam usiadł na ławce obok czytającego Zawady i spoglądał — to na twarz jego to na ogródek pełen kwiatów, tchnący świeżością i wdziękiem.

— Od prawdy zaczynasz — to dzielnie, mówił Zawada czytając list.

— Pierwszy raz w życiu chyba, ze szczerością dodał Karol. Nie uczono mię tego, to mój własny nabytek.

— Śmiało i poczciwie — w tem czuć prawdę, powtarzał Zawada, kiedyś się zdobył na odwagę wyznać to wszystko, to już wielka wygrana. Dalej czytał milcząc — znać było wzruszenie na jego twarzy. — O! zrozumią i uwierzą, rzekł jakby do siebie. Naraz zatrzymał się i z wyrzutem spojrzał na śledzącego za jego wzrokiem Karola.

— Po cóż ty mię tu mieszasz — takie panegiryki, egzaltacye! To musisz wymazać.

— Cicho! szepnął z uśmiechem Karol cisnąc go do siebie. Czy chcesz żebym o najważniejszej prawdzie zamilczał.

— Kiedy to przesada!

— Prawda najprawdziwsza, chyba że się gniewasz za to że odrazu rozporządzam tobą. Czytaj, ja upewniam ich, że część wakacyj poświęcisz dla mnie — bo jak widzisz zamierzam pozostać w mieście i uczyć się. Pierwszy raz zacznę się uczyć na prawdę — ty mi musisz pomódz!

— O tem przecież wczoraj mówiliśmy, zostanę.

— Widzisz! jakże nazywać cię zdolnego do takich ofiar... No! już nie gniewaj się tylko. Wymażę co zechcesz. Wiesz jaka myśl mi się nasuwa ciągle? Że ty jesteś jakimś filozofem greckim a ja uczniem którego zwerbowałeś sobie i który już teraz nie odczepi się od ciebie. A jakie to śliczne twoje akadema. Co za ogródek. Założyłbym się że to twoja praca, bo wiem żeś botanik zapalony! szczebiotał dziecinnie Karol.

— Moja po części. Chodź muszę ci pokazać, bo to moja próżność i duma. Patrz tylko jak zużyłem każdy zakątek tej doniczki którą nazwałem swoim ogrodem i co się tu mieści. Tu ogrodownictwo kwiatowe i warzywne.

— Co i warzywa sadzisz!

— Jak widzisz, to ładnie nawet wygląda między kwiatami. Różne gatunki wyprobowuję i uszlachetniam. Tu są różne rośliny używane w przemyśle i medycynie, są między niemi bardzo rzadkie i oryginalne. Tu część doświadczalna, specyalnie naukowa.

— Szkła, klosze, tabliczki, miseczki! wołał Karol — jak to wszystko tchnie mądrością — a jaki tu ład, jaki skrupulatny porządek! Jakie przyrządy pomysłowe np. ten rezerwoar. Te mchy i porosty na murze i na kamieniach pewnie tu same nie wyrosły!

— Ba! szkoda że nie jesteś specyalistą. Podziwiałbyś je naprawdę... A widzisz te bedłki w cieniu?

— To i grzyby chodujesz! Ach, jaki tam przepych wijących się roślin! A to nasze polne i leśne zwyczajne!

— Cóż to za skrzynki?

— Tu mam parę uli, probuję nowego pomysłu.

— Jak to i pszczołami się zajmujesz?

— O ile mi nie przeszkadzają w botanice.

— Widzę i jedwabniki masz bo widzę narwane morwowe liście.

— To dla zabawki tylko...

— Nigdym jeszcze nie widział jedwabników, pokaż że mi.

— I owszem. Ale wpierw jeszcze zakosztuj moich malin i truskawek. Probowałem nadawać im smak dowolny...

Karol w zachwycie śmiał się i podziwiał. Tymczasem zjawił się kulawy, garbaty starowina. Niezgrabnie zbliżał się, mrucząc pacierze, i niosąc koszyk w ręku.

— Dzień dobry Wojtusiu!

— A, dzień dobry. Gospodyni (jej tam zawsze czegoś potrzeba) prosiła mię, czyby jej nie można dać *Apium petroselinum*. Toż tego licha jest dosyć....

— Bierzcie ile chcecie —tylko tę z prawej strony zostawcie!

— O! wiem przecie...

— Cóż to i gospodyni uczona? zapytał z podziwem Karol.

— Ale gdzież tam. Prosi żeby jej dać pietruszki zwyczajnej, ale stary wszystko mądrze nazywa. To mój laborant i zastępca, stary ogrodnik na dewocyi osiadły w mieście. Chodź pokażę ci jedwabniki.

Weszli do mieszkania. Zawada zajmował niewielki pokój od ogrodu. Porządek i czystość panowała tu jakby w mieszkaniu panienki. Przy szczupłości miejsca mnóstwo przedmiotów ugrupowane było harmonijnie i ładnie. Czuć tu było pracującego umysłowo mieszkańca a obok tego człowieka pełnego gustu, ścisłej myśli, ustalonego charakteru a niezasklepionego w sobie ducha. Młodość łączyła się z powagą. Szafka pełna książek, ozdobiona biustem króla naszych poetów, przyrządy naukowe, karty geograficzne i chronologiczne po ścianach obok paru pięknych stalorytów. Stary fortepianik, łóżko schludnie zasłane z zawieszonemi nad nim fotografiami i pamiątkowym obrazkiem świętym. Biurko dźwiga symetrycznie rozłożone stosy podręcznych książek, narzędzi, papierów, z bukietem świeżych kwiatów przed posążkiem przedstawiającym jutrzenkę. Bujny bluszcz nad oknami oplatał półki pełne na-

ukowych zbiorów. Okna osłonięte wesołą firanką, a na oknach słoiki z doświadczeniami botanicznemi, doniczki pielęgnowanych troskliwiej roślin.

— Jak tu przyjemnie żyć! wołał Karol wszedłszy na próg. Jak ty jesteś szczęśliwy!

— Zazdrościsz mi?

— Nie, ale chciałbym podobnie... Co tu książek! wielkie imiona znane mi tylko ze słuchu, i nieznane nawet obok... *sztubackich* naszych podręczników! Jaka u ciebie równowaga we wszystkiem, jaka harmonia...

— Patrz — chciałeś widzieć jedwabniki, rzekł Zawada uśmiechając się z dobrocią, ale Karol tymczasem zbliżył się do fotografij zawieszonych nad łóżkiem.

— Nie gniewasz się że patrzę na twoje bogi domowe? — To ojciec pewnie? Jaki poczciwy i chwacki staruszek! — to matka. Jakim pięknym wieńcem ich otoczyłeś!

Karol posmutniał i westchnął z cicha.

— A kto jest ta śliczna dzieweczka.

— To siostra. Chodźno...

— A ta panienka w żałobie?

— Ach, jakżeś ty ciekawy. Nie znasz jej.

Karol nie badał dłużej, zbliżył się do oszklonej skrzynki w której zamykały się jedwab' przędące owady, i z zajęciem, choć mniejszem niż poprzednio słuchał tłómaczenia procesu ich życia. Myślał o czem innem.

— Jak wielka przestrzeń oddziela ciebie odemnie, rzekł, usiadłszy w zadumie. Tyś jest król nad sobą, władasz tak obszernem zdobytem państwem, ale też na ciebie dużo się złożyło. W lepszym klimacie wzrosłeś, na lepszej glebie; wykarmiono cię innym, zdrowym chlebem... Jakiż ja biedny w porównaniu z tobą! Jak długo muszę cię gonić nim się zrównam...

— Słuchaj Karolu! z żywością serdeczną odezwał się Zawada. Mój dziad był prostym chłopem, prostym Maćkiem Zawadą. Był ruchliwszego od swych kumów ducha, więc *zawadził* jakoś o wojaczkę i rąbał się tęgo tu i ówdzie. Gdy wrócił pokiereszowany srodze, zwolniono go z pańszczyzny, trochę mu pomogli bogatsi koledzy broni, zresztą swym chłopskim rozumem przetartym w biedzie i w szerokim świecie, a ostatkiem sił jeszcze jarych — dobił się jakiej takiej zamożności i dobytku, tak, że synów „podsadził" już wyżej jak zwykł mawiać, i rozświecił im nieco w głowach. Niewiele to tam podobno było tego światła, ale zdrowe zapewne i na zdrową głowę upadło, kiedy mój ojciec zrzekłszy się nawet fortuny na rzecz braci, własną swą siłą i żelazną pracą dobił się nie mówię już jakiego takiego mienia, lecz co najważniejsza, rzeczywistego szlachectwa duszy, szczerozłotego skarbu mądrości życiowej i prawdziwej czci u ludzi wśród których się obracał. Doszedłszy do mienia osiadł po staremu na własnym kawałku roli, prawdziwie własnym, bo go własnemi rękami dobył z nabytych zarośli, wertepów i nieużytków. Zrobił z niego wszystko co można zrobić wytrwałą pracą, wzbogacaną zasobami doświadczenia i mozolnego samouctwa. Nie przeczę, rodzice moi umieli poczciwie wychować swoje dzieci, umieli wyprowadzić ich umysł na dobrą drogę, ale czyliż to wszystko? Wieleż razy najpiękniejsze dziedzictwo marnują spadkobiercy?

Nędzna była by to chwała żeśmy nie zniszczyli tego, co nam dane zostało. Jak upokarzającą byłaby myśl, żeśmy tylko maszynką nakręconą przez okoliczności, które złożyły się na pierwsze wpływy naszego wychowania, otoczenia i t. p. Co za niewolniczy żywot! Nie! Człowiek może, powinien, musi rozwijać się samodzielnie, kierować się nie instynktem ślepym lecz dzielną świadomą wolą — ku Bogu — ku dobru i prawdzie — jak roślina ku słońcu.

Ten dopiero jest prawdziwym człowiekiem kto nie prostym rezultatem wpływów i oddziaływań koniecznych ślepych, lecz swobodnemi krokami wolnych czynów dąży ku celowi — doskonałości.

— Tak — ja w to wierzę, to jest moją nadzieją całą, a jednak...

— Co jednak?

— Wszystko w nas jest skutkiem uprzednich przyczyn...

— Czy pragnienie dobra może być przyczyną całego obszaru wyników?

— Jest.

— To jeśli je czujesz świadomie — jeśli je potęgować będziesz, masz przyczynę, masz dźwignię najszlachetniejszą, nim do niej inne pomocnicze dołączysz, i nie masz prawa narzekać że brak ci pasków, i poręczy ochronnych.

Zamilkli obaj. Karol rozpromieniony był siłą postanowienia, a jednak mimowoli z pewną tęsknotą obejrzał się na stary niezgrabnie malowany obrazek nad łóżkiem Zawady, na czerstwego staruszka i pełną dobroci niewiastę otoczonych gierlandą i na dzieweczynę w żałobie — obrazki oświetlone smugą porannego słońca.

Jan jakby odgadł myśl tajemną przyjaciela, uścisnął jego rękę i rzekł z wylaniem:

— Będziemy się wspierać.

Trudno wyrazić z jakim ogniem wziął się Karol do zaniedbanej dotąd pracy. Było to w ostatnich dniach szkolnego roku, kiedy zakończono już kursa nauk i tylko formalności szkolne zatrzymywały jeszcze w murach miasta młodzież z rozmaitemi uczuciami a zawsze z upragnieniem oczekującą domowej swobody i beztroski.

Karol nie spodziewał się wkrótce przysłania po siebie koni. Przybycie jego do rodzinnego domu nie było chwilą gorąco tam upragnioną, a skądinąd wiedział, że za kilka dni zaledwie ojciec przybędzie za interesami do miasta z zamiarem zabrania syna na wakacye, spodziewał się więc że list jego uprzedzi ojcowski wyjazd. Tymczasem z nieznanem mu dotąd skąpstwem czasu, Karol rzucił się na naukę, pragnąc odrazu do gruntu zmienić swój tryb życia i wypróbować obudzoną siłę.

Zawada wolałby widzieć powolniejszy i bardziej naturalny zwrot w postępowaniu rozgorączkowanego kolegi, ale ten ani słyszeć nie chciał o umiarkowaniu, a nie chcąc trudzić przyjaciela żądaniem jego pomocy w całej rozciągłości prac przez siebie rozpoczętych, ograniczył się tylko na powzięciu od niego ogólnych wskazówek, dostaniu potrzebnych książek i notat. Zabrał się do roboty bez wytchnienia, bez ograniczeń, rzucił się na mozolne trudności, rozwijając całą swą zdolność, zapał i cierpliwość. Jakąś dziką przyjemność znajdował w pasowaniu się ze swem nieuctwem; dokładność i ścisłość w studyach nad elementami zaniedbanych nauk szkolnych posunął aż do pedanteryi, w której widział karanie siebie samego za dotychczasową lekkomyślność. Widząc coraz jaśniej niezmierną górę zaległości, darł się na nią, rosnąc w swych oczach w olbrzyma. d. c. n.

---

# ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(dalszy ciąg).

## Epoka drugorzędowa.

### Okres jurasowy.

Jednym z najważniejszych okresów kuli ziemskiej jest *jurasowy*, tak nazwany dla tego że góry szwajcarskie *Jura*, po większej części składają się z warstw osadzonych przez morza w ciągu tego okresu.

Juras przedstawia się wielce wybitnie w świecie zwierzęcym i roślinnym pochodzącym z tej epoki. Mnóstwo rodzajów zwierzęcych istniejących w poprzednich okresach geologicznych, w nim znika, a w ich miejsce występują inne których liczba gatunków dochodzi przynajmniej czterech tysięcy. Rozdzielamy ten okres na dwa podokresy: *lejasowy* i *oolitowy* czyli *ikrowcowy*, których główniejsze cechy rozpatrzymy.

### Podokres lejasowy.

Zwierzokrzewy, mięczaki, ryby osobliwszego ustroju a zwłaszcza płazy dziwotworne kolosalnej wielkości, nadawały morzom lejasowym wygląd wielce wybitny i charakterystyczny. W owym to czasie przejawiły się na widowni życia olbrzymie jaszczury pod najdziwniejszemi postaciami. Ze zwierzokrzewów tego podokresu wymieniamy gwiazdy morskie z gatunków, *Asteria lombricalis*, i *Palaecoma Fustembergii*. Z Peutakryn to jest gwiazdecznic szypułkowatych, na długim trzonie osadzonych: *Pentacrinus fasciculosus*.

Ostrygi przejawiające się nielicznie w poprzednich okresach, zapełniają morza lejasowe w wielkiej obfitości, a mianowicie gatunek *ostrea arenata*.

Ammonity z pośród mięczaków odznaczające się najosobliwszym ustrojem, dziś całkiem znikłe z powierzchni oceanu, wystąpiły po raz pierwszy w okresie tryasowym, lecz w bardzo małej liczbie i w pierwotnej rozwojowej budowie. W okresie zaś jurasowym dochodzą najwyższego rozwoju. Wypada nam o tych dziwnej struktury jestestwach dać pewne wyobrażenie czytelnikowi.

Ammonity kształtem przypominające zwinięte rogi tryka, były mięczakami głowonogiemi, i mieściły się w muszli okrągławej spiralnej, podzielonej na jamy. Ciało zwie-

rzęcia zajmowało wyłącznie tylko najwięcej wysuniętą na zewnątrz jamę muszli, inne jamy były puste, a przez wszystkie przechodziła rurka czyli kanał z pomocą którego mięczak stawał się lżejszym lub cięższym na wodzie. W rzeczy samej ammonit, mógł dowolnie wprowadzać wodę w ten przewód, lub ją z niego wyrzucać, co dawało mu możność wznoszenia się nad powierzchnię wody, lub obniżania w jej głębie. Łodzik dziś istniejący (Nautilus pompilius) posiada tenże sam ustrój i przypomina najlepiej ammonity czasów geologicznych.

Ammonity pływały po morzach lejasowych w niezliczonem mnóstwie, upędzając się za zdobyczą. Z gatunków ich odznaczały się najwytworniejszemi kształty: *Ammonites bifrons*, *Am. nodotianus*, *Ammonites bisulcatus*, *Am. margaritatus*. Nie mniej ciekawą organizacyę przedstawiał inny rodzaj mięczaków głowonogich, zwanych *Belemnitami*, które pierwszy raz przejawiają się w okresie lejasowym. Posiadamy jedynie kostkę tego mięczaka, podobną do znajdującej się u sepii kałamarki. Milczący ten szczątek słabe tylko może nam dawać wyobrażenie o budowie belemnitów, które tem się różniły od ammonitów, że pływały w głębi morza, nie zaś jak tamte na jego powierzchni.

Belemnit równie jak sepia kałamarka, wydzielał z siebie ciecz czarną jak atrament. Jamę mieszczącą w sobie zeschły ten atrament znaleziono w stanie kopalnym, i pewien geolog, nie posiadał się z radości gdy mógł pisać tym płynem sfabrykowanym przez zwierzę przed milionem stuleci!

We wszech czasach belemnity zwracały uwagę naturalistów. W średnich wiekach poczytywano je za *kamienie rysia*, czyli skamieniały mocz tego zwierzęcia, o czem podają Teofrast i Pliniusz; później upatrywano w nich to skamieniały bursztyn, to daktyle kopalne, to kamienie piorunowe i t. p. Dopiero przyrodnik Deluc pierwszy okazał, że kostki belemnitów należały do zwierzęcia podobnego sepii.

Opierając się na spostrzeżeniach d'Orbinego, możemy odtworzyć sobie ustrój tego osobliwego mięczaka. Kostka rogowata według niego, mieściła się w mięsnych częściach ciała, nadając im większy opór; prócz tego utrzymywała zwierzę w głębi wód i ułatwiała mu pływanie podobnie jak pęcherz pławny jakim zaopatrzone są ryby. Belemnity pływały w kierunku przeciwległym ich głowie, a tem samem nie mogąc oceniać przeszkód napotykanych w drodze, musiały zatem w tej części ciała być uzbrojone kostką twardą, wytrzymałą na uderzenia. Prawdopodobnie belemnity wędrowały w starożytnych morzach w niezliczonych gromadach, jak o tem przekonywają ławice z kredowych ich szkieletów wyformowane, we wszystkich prawie miejscach w których te zwierzęta przebywały. Belemnity ukazały się na ziemi a raczej w jej morzach jednocześnie z wystąpieniem warstw lejasowych. Najcharakterystyczniejszemi ich gatunkami pochodzącemi z tego podokresu są: *Belemnites acutus*, *pistiliformis*, i *sulcatus*.

Morza lejasowe zawierały w sobie mnóstwo ryb kostołuskich (Ganoidei), to jest opatrzonych mocnym i połyskownym pancerzem. Do takich należą: *Lepidotus gigas*, *Tetragonolepis*, *Aerodus nobilis*, *Hybodus reticulatus* i t. p. Wszelako wszystkie te zwierzęta, nie stanowią jeszcze wybitnej cechy podokresu lejasowego, gdyż głównemi jego przedstawicielami są przedewszystkiem olbrzymie płazy, z których pozostałe szczątki budzą w nas podziw i osłupienie.

W żadnym okresie geologicznym płazy nie odegrały tak ważnej roli jak w jurasowym; dzisiejsze jaszczurki ani mogą się mierzyć z kolosalnym rozwojem jaszczurów lejasowych.

Z pomiędzy tych trzy typy występują wyraziście, takiemi są: *Ichtyosaurus*, *Plesiosaurus* i *Pterodactylus*. Zapoznajmy się nieco bliżej z temi dziwotworami, a może wtedy nie będą nas razić ich imiona.

Potwór zwany *Jchtyosaurem*, posiadał pysk delfina, głowę jaszczurki, zęby krokodyla, kręgi ryby, mostek kaczonosa [1]) i płetwy wieloryba.

Bayle mówiąc, że Ichtyosaurus był wielorybem jaszczurowatym, przedziwnie go określa. W rzeczy samej Ichtyosaurus należał jak tego dowodzą jego płetwy do zwierząt iście morskich, niekiedy tylko spoczywał na brzegach jak massa nieczuła, bezwładna. Z tego też względu możnaby nazwać to zwierzę *Rybojaszczurem*.

Ichtyosaurus podobnie jak wieloryb wziewał powietrze atmosferyczne po nad wodą, co go zniewalało wypływać na jej powierzchnię, nozdrza też jego prawdopodobnie opatrzone były pryskawkami, przez które wyrzucał słupy wody pochłoniętej. Rybojaszczur ten dochodził 35 stóp długości, nozdrza jego były wielce zbliżone do oka, a kształt i układ zębów czyniłby go podobnym krokodylowi. Zęby te były stożkowate i głęboko osadzone w zębodołach, paszcza miała wymiary kolosalne a zawierała w sobie niekiedy straszliwą bateryę stu ośmdziesięciu zębów. Nadmienić winniśmy że z powodu żarłoczności tego potworu, zęby jego wkrótce ulegały zniszczeniu, lecz były niezwłocznie zastępowane innemi, jakich zarodki pod niemi wzrastały. Oczy rybojaszczura dorównywały objętością głowie ludzkiej; tak olbrzymich oczu żaden zwierz nie posiadał. Na około oczu cienkie blaszki kostne otaczały źrenicę. Podobny przyrząd napotykamy u żółwi, jaszczurek i niektórych ptaków, posługuje on do posuwania naprzód lub w tył rogówki przejrzystej, a zatem do przybliżania lub oddalania dostrzeganych przedmiotów, jest więc tem samem stosownie do woli zwierzęcia mikroskopem lub teleskopem. Oczy Ichtyosaura były więc doskonałym przyrządem optycznym, ułatwiającym mu dostrzeganie zdobyczy z bliska lub z daleka, na powierzchni i wgłębiach morza. Prócz tego blaszki kostne ochraniały oczy rybojaszczura od znacznego ciśnienia wywieranego na nie przez wodę a niemniej od uderzeń fal gdy zwierz dla zaczerpania powietrza, wychylał głowę nad powierzchnię oceanu.

Na grubej i krótkiej szyi Ichtyosaura, osadzoną była czaszka olbrzymia, słup pacierzowy składał się ze stu przeszło kręgów. Ogon złożony z 80 lub 85 kręgów, opatrzony był szerokiemi i silnemi płetwami prostopadłemi jak u ryb, nie zaś poziomemi jak u wieloryba. Prawdopodobnie ciało Ichtyosaura było nagiem, pozbawionem wszelkich łusk, pancerzy i zbroi.

Na podstawie spostrzeżeń naukowych możemy odtwarzać sobie ustrój zwierząt przedpotopowych.

Wiadomo nam dziś jakiem było pożywienie Ichtyosaurów, świadczą o tem tak zwane *koprolity* czyli wydzieliny ich pochodzące ze strawionych pokarmów. Koprolity są nagromadzone w takiej obfitości na pobrzeżach Lyme-Regis w warstwach lejasu, gdzie natrafiono na pierwsze szczątki Ichtyosaurów, że tworzą skupienia na kilka mil się ciągnące. Koprolity Ichtyosaura zawierały w sobie kości i łuski przeróżnych ryb i płazów, o tyle dobrze przechowane, że można było z łatwością poznać do jakich należały gatunków zwierzęcych. W pośród tych szczątków często mieszczą się kości samych Ichtyosaurów, co dowodzi że olbrzymie jaszczury lejasowe żywiły się nawet własną swą rasą. Zresztą Ichtyosaury nie potrzebowały rozdrabniać zdobyczy zębami, gdyż ogromna ich paszcza mogła ją w całości pochłonąć. Nie mniej dziwotwórną organizacyą odznaczał się plesiosaurus którego szczątki napotkano w pokładach ziemnych. Plesiosaurus miał głowę jaszczurki, zęby krokodyla, szyję niesłychanie długą niby wąż wygiętą, żebra kameleona i płetwy wieloryba. Rozpatrzmy się nieco w tej jego budowie.

Głowa tego zwierza przedstawiała połączone cechy tej części ciała, napotykanej u ichtyosaura, krokodyla i jaszczurki. W długiej jego szyi mieściło się więcej kręgów niż w szyi wielbłąda, żerafy a nawet łabędzia, który jak wiadomo, odnośnie do reszty ciała, posiada najwięcej kręgów szyjowych. Kadłub tego potwora nie był pokryty ani łuskami ani pancerzem. Każda para żeber złożona z pięciu części, nadawała wielką łatwość płucom w oddychaniu. Pierś, miednica i kości członków przednich oraz tylnych, tworzyły przyrząd ułatwiający plesiosaurowi obniżanie się i wznoszenie w wodzie na podobieństwo ichtyosaurów i dzisiejszych wielorybów. Stąd też nogi jego przetworzyły się w wiosła potężniejsze i większe od ichtyosaurusowych, a tem samem dzielnie wspierające funkcye ogona, który tej machinie zwierzęcej zawsze posługiwał. W rezultacie plesiosaurus był przedewszystkiem tworem morskiem, chociaż długość szyi i cała budowa nie pozwalała mu zbyt żwawo uwijać się w wodnym żywiole. Podobieństwo kończyn tego jaszczura z członkami cechującemi żółwi, wskazuje, że zwierz ten przebywał niekiedy na pobrzeżach, chociaż ruchy jego na lądzie musiały być powolne i nie łatwe. Zresztą plesiosaurus pływał na powierzchni wód jak łabędzie i ptaki wodne. Cofając w tył swą długą i giętką szyję, wysuwał nagle w chwili upatrzenia zdobyczy,

[1]) Zwierzę wodne bezzębne Nowej Holandyi, zwane też *dziobakiem* (ornithorhynchus paradoxus) opatrzone dziobem rogowym.

silnie zbudowaną głowę uzbrojoną straszliwemi zębami i miażdżył w nich pochwycone ryby. W tymże celu czyhał ukryty w sitowiu na swe ofiary i chwytał je w mgnieniu oka, nawet z dość wielkiej odległości. Pierwszy raz szczątki tego jaszczura wykryto w Lynze-Regis w warstwach lejasowych, a następnie w wielu innych miejscowościach. Plesiosaurusy z gatunków *dolichodeirus* i *macrocephalus* dorównywały długością ciała ichtyosaurom; inne gatunki były daleko mniejszych wymiarów.

Nazwaliśmy kilkakrotnie jaszczury jurasowe *potworami* a wcale niesłusznie. Przyroda tworząca gatunki zwierzęce, nie rodzi potworów tylko typy, a jakkolwiek te mogłyby nam wydawać się kolosalnemi, to przecież zawsze panuje w nich pewna harmonia i dążenie do doskonałości na drodze rozwojowej. Pęcherz pławny ryb zamieszkujących niegdyś morza dewońskie, staje się płetwą wiosłową ichtyosaurów i plesiosaurów, która wkrótce przeistacza się w nogę błoniastą pterodaktyla i w skrzydło ptaka. Następnie noga przednia stawowata z ptaka lądowego, przetwarza się w rękę małpy a wreszcie w ramię i rękę ludzką, to jest w narzędzie przedziwnie doskonałe.

Uwagi te nasuwa nam nazwa pterodaktyla (pterodactylus) oznaczająca zwierza o palcach, przekształconych w skrzydła. Osobliwszy ustrój tego zwierza, do którego z kolei przechodzimy, zrodził najsprzeczniejsze zapatrywania się nań przyrodników. Jedni poczytywali to jestestwo za ptaka, inni za niedoperza, a inni jeszcze upatrywali w nim płaza skrzydlatego. Przyczyna tych rozmaitych poglądów jest bardzo prosta, dowodzi bowiem tego tylko, że kształtem głowy i długością szyi pterodaktylus przypominał ptaka budową i ustosunkowaniem skrzydeł, niedoperza; nie wielką czaszką i paszczą uzbrojoną przynajmniej sześćdziesięciu zębami, płaza. Długi rząd zębów jakiemi uzbrojoną była jego szczęka i mała liczba kręgów szyjowych, wązkie żebra i kształt miednicy, nie pozwalają nam zaliczać pterodaktyla do ptaków. Zestawienie budowy głowy i skrzydła niedoperza z temiż częściami u perodaktyla nie upoważnia nas zaliczać to zwierzę do niedoperzy, to jest do ssących latających. Z drugiej znów strony, jego paszcza opatrzona zębami stożkowatemi, jakie znachodzimy w jaszczurach, jego wązkie żebra, kształt miednicy, liczba i ustosunkowanie kości u palcy, najzupełniej zbliżają pterodaktyla do płazów i do nich też niewątpliwie należy. W rzeczy samej był to płaz opatrzony skrzydłami błoniastemi, jakie posiada niedoperz; najokazalsze jego gatunki nie przechodziły wzrostem łabędzia, a najmniej rosłe dorównywały wielkością krzykowi. W zestawieniu z ogółową objętością ciała, głowa pterodaktyla była ogromną. Błona łącząca palce z żebrami, posługiwała mu raczej za spadochron, niż za skrzydło. Powstrzymywała zbyt silny spadek jego ciała na upatrzoną zdobycz. Jaszczur ten nie bujał jak ptak w powietrzu, lecz piął się po skałach i drzewach jak jaszczurka, i z tych wyżyn rzucał się na zdobycz rozpościerając swój spadochron. Prawdopodobnie zwierz ten mógł w razie potrzeby pływać, podobnie jak dziś istniejące płazy. Żywił się zwykle owadami, a prócz tego łowił ryby na które się rzucał jak jaskółka morska. Cały ustrój pterodaktyla jest dziwotworny. Przypomina on bajecznego smoka, o którym tyle rozpisywali się poeci greccy i łacińscy. Dziś żyjący płaz skrzydlaty w lasach Afryki i na wyspach oceanu Indyjskiego a głównie na Sumatrze i Jawie zwany *Smokiem*, przedstawia pewne cechy wielce podobne do pterodaktyla. Smok ugania się za owadami i przeskakuje z jednej gałęzi na drugą, rozpinając spadochron wyformowany z przedłużenia żeber pokrytych błoną.

Dziwotworny świat zwierzęcy ożywiał ziemię lejasową. Olbrzymie ichtyosaury i plesiosaury panowały na morzach, po których falach pływały niby leciuchne łódki gromady ammonitów, a ogromne żółwie i krokodyle pełzały po wybrzeżach rzek i jezior. Żaden zwierz ssący, żaden ptak nie przejawiał się jeszcze. W szlakach powietrznych słychać było tylko syczenie płazów lądowych i brzęczenie owadów.

Ziemia oziębiła się nieco w czasie okresu jurasowego, nie padały już deszcze tak częste i rzęsiste. Wszystkie te warunki wpływały na pomnożenie gatunków zwierzęcych, mięczaki i zwierzokrzewy rozradzały się też wówczas w takiem mnóstwie, że szczątki ich złożyły ławice dochodzące znacznej grubości i rozległości.

Też same warunki ułatwiały rozwój flory, bogata roślinność pokrywała nieliczne lądy. Wysoka temperatura, wilgocią przesycona atmosfera i silne promieniowanie słońca, wszystko to przedziwnie sprzyjało rozkrzewianiu się roślin. Dzisiejsza flora zwrotnikowa zaledwie może nam dawać słabe wyobrażenie o rozwoju owoczesnych typów botanicznych. Wytworne wulcye z okresu tryasowego znikły, pozostały jednak skrzypy których trzony rozpościerały w powietrzu przepyszne wachlarze. Obok nich krzewiły się olbrzymie trzciny i paprocie, chociaż te ostatnie nie tyle już były okazałemi jak w okresach poprzednich. Z nowych gatunków roślinnych wystąpiły sagowce a między nimi Zamie, Pterofilie i Nilsonie.

Zamie zwiastują nam blizkie przejawienie się palm, które występują wyraziście w okresie następnym. Gęste ich korony uwieńczone były liśćmi długiemi na sześć i więcej stóp i rozpostartemi wachlarzowato. Pterofilie były wielkiemi drzewami osłonięte mi od podnoża do szczytu bogatym liściem. Nilsonie miały liście skórzaste.

Lejas składa podstawę warstw jurasowych, dochodzącą w grubości 350 stopom polskim. W dolnej części lejasu znachodzimy piaskowce i kwarcy, powyżej nich mieszczą się wapienie a dalej margle piaskowe i bituminowe.

Dzielimy lejas na trzy piętra, dolne, środkowe i wierzchnie. W pierwszym znajdujemy wapień gryfitowy, w drugim piaskowiec oolitowy, wapienie, iły i margle, w trzecim wapienie łupkowate.

W Polsce utwór jurasowy najwyraziściej występuje w Tatrach. Wapień lejasowy ciągnie się od góry Murań aż do góry Siwa Turnia, to jest od obwodu sądeckiego do orawskiego. Wszystkie szczyty olbrzymich skał doliny Kościeliskiej i wzdłuż wsi Zakopanego aż po osadę hutniczą Jaworzynę, są lejasowe, z wyjątkiem dolomitów nummulitowych, należących do eoceńskiego trzeciorzędowego utworu.

### Podokres oolitowy.

Nazywamy ten podokres oolitowym, czyli ikrowcowym, gdyż wapienie go składające przedstawiają skupienia małych okrągłych ziarn z postaci do ikry rybiej podobnych. Warstwy ikrowcowe dzielimy na trzy piętra, dolne, środkowe i wierzchnie.

W *oolicie dolnym* występują po raz pierwszy ssaki, uwyraźniając najwybitniej, że przyroda postępowała w wytworze jestestw drogą stopniowych rozwojów. Ssaki pierwotne nie odznaczały się bynajmniej doskonałym nastrojem. Były to zwierzęta dydelfowate, rodzące się w stanie wielce nierozwiniętym, należące do gromady *workowatych*, jak dydelfy, kangury i kaczonosy. *Thylacotherium* i *phascolotherium* były pierwszemi reprezentantami dydelfów.

Zwierzęta lądowe oolitu dolnego, były prawie też same jakie znachodzimy w lejasie. Owady rozradzały się wówczas w nieprzeliczonem mnóstwie.

Faunę morską składały płazy, ryby, mięczaki i zwierzokrzewy. Do pierwszych należał wielki jaszczur *Teleosaurus*, a z ryb rodzaje *Ganodus* i *Ophiopsis*. Mięczaki głowonogie reprezentowane były przez ammonity z gatunków: *Humphrysianus*, *bullatus* i *Nautilus lineatus* czyli odmianę łodzika. Z małży ramiennych (brachiopoda) istniały gatunki przewiertki: *Terebratula digona* i *spinosa*. Ze ślimaków ostryga z gatunku: *ostrea Marshii* i limak *Lima proboscidea*, z jeżowców i polipów *Apiocrinus elegans*, *Hyboclypus gibberulus*, *Eunomia radiata* i inne. Flora lądowa w tej epoce była wielce bogata; paprocie istniały jeszcze, chociaż przedstawiały wymiary daleko skromniejsze. Z rodziny roślin pandanowatych, przejawiły się wówczas pierwsze typy, tworząc drzewa ozdobione przepyszną koroną liścienną. Sagowce reprezentowały rodzaje *zamij* i *otozamij* oraz niektóre gatunki pterofilij. Od czasu też owej epoki geologicznej, ukazują się drzewa szyszkowe, jakich przedstawicielami były *Tuje* (tuites) *Taksyty* (taxites) i *Brahyfilie* (Brachyphylium).

Tuje wyglądem przypominały cyprysy, taksyty zbliżały się postacią do cisów, brachyfilie podobne były budową dziś krzewiącym się na ziemi Diemen Arthrotaxysom (Arthrotaxis) i Widringtoniom (widdringtonia) Afryki południowej.

W *oolicie środkowym* florę lądową składały paprocie, sagowce i drzewa szyszkowe.

Z owadów przejawiły się pszczoły szklarki i motyle. Miejsce pterodaktyla zastąpił płaz zwany *Ramphorhynchus*, odróżniający się od niego długim ogonem. Zwierz ten którego ślady nóg odcisnęły się w warstwach geologicznych, nie przechodził wzrostem kruka. Spadochron jakim był opatrzony służył mu nie do lotu, a raczej do miarkowania chyżości

spadku tego płaza w chwili rzucania się jego na zdobycz upatrzoną na ziemi.

W czasie okresu oolitowego żyły nadto płazy, zwane *Teleosaurusami*. Były to straszliwe krokodyle opancerzone, zbrojne od stóp do głów, rozbójnicze potwory oceanu. Długością ciała Teleosaurus dochodził 35 stóp pol. Paszcza jego rozdarta aż do uszu, obejmowała czeluść siedmiostopową, a tem samem mogła chłonąć zwierzęta dorównywające wzrostem wołowi.

Oprócz licznych ryb w morzach ikrowcowych, żyły skorupiaki, wąsonogi, różnorodne mięczaki i zwierzokrzewy.

Charakterystycznemi gatunkami oolitu środkowego są: z belemnitów *hastatus*, z ammonitów: *refractus jason*, *cordatus*, z ostryg: *ostrea dilatata*, z przewiertek: *terebratula diphya*, *nerinea hieroglyphica*, z jeżowców: *Cidaris glandiferus*, z gąbek, *Cribrospongia reticulata* i inne. Polipy rozradzały się wówczas w nieprzeliczonem mnóstwie.

*W oolicie wierzchnim* napotykamy wiele skamienin, a mianowicie korale i gąbki od których też wapienie ikrowcowe nazwę czerpnęły. Z pośród fauny owoczesnej występują zwierzęta workowate, należące do rodzaju *Sphalacotherium*, a na pobrzeżach morza obok pletiosaurów i teleosaurów, żyły krokodyle jak *Macrorhynchus* i potworny *Poecilopleuron*, z ogromnemi szponami i ostremi zęby. Z żółwi odznaczały się rodzaje: *Emys* i *Platemys*. W tej to epoce historycznej naszej ziemi, po raz pierwszy przejawia się ptak, którego szczątki znaleziono w wapieniu litograficznym w Solenhofen. Z tego też względu paleontologowie nadali mu nazwę *ptaka z Solenhofenu*. Z ryb pojawiły się rodzaje *Asterocanthus*, *Strophodus*, *Lepidotus* i *Microdon*. Mięczaki były wcale nieliczne. Z ammonitów wymieniamy gatunki: *decipiens*, *giganteus*; z ostryg: *ostrea deltoidea*, *os. virgula*; z przewiertek: *terebratula subsella*. Przedstawicielami flory były na lądzie paprocie, sagowce, drzewa szyszkowe, a trawa morska (Zostera) na stawach. Zamykamy ten rozdział podaniem niektórych wskazówek, dotyczących rozkładu wastw jurasowych na powierzchni kuli ziemskiej.

We Francyi i Szwajcaryi, góry Jura są prawie całkiem złożone z pokładów jurasowych, lejas wierzchni przeważa w Pireneach i Alpach.

Warstwy jurasowe istnieją w Hiszpanii, w północnych Włoszech, w Rossyi, a mianowicie w okolicach Moskwy i w Krymie, a w Niemczech zajmują ogromne przestrzenie. Piękne kamienie litograficzne Pappenheimu należą do tegoż okresu. Warstwy jurasowe wykryto niedawno w Indyach, one to wyformowały góry himalajskie, a w części Andy Ameryki. W Nowej Zelandyi napotykamy również ten utwór.

Pokłady oolitu środkowego znachodzimy w okolicach Krakowa, jakoto w Sance, Brodach, Ostrowcu, Kościelcu, Porębie, Balinie, oraz w pobliżu Olkusza. Ikrowiec wierzchni złożony z wapieni marglowatych, gąbkowych i koralowych, napotykamy w Krakowskiem. Wapień gąbkowy wytworzył Wawel, na którym stoi zamek królewski, a obok tego skały Krzemionki, Kostrza i Tyńca, Bielan, Krzeszowic, Sielca, Radwanowic, Ojcowa, Szklar, Pieskowej skały, Złotego potoku, Smolenia, Ogrodzieńca, Rabsztyna, Olsztyna i Częstochowy. Wapienie koralowe istnieją w Jędrzychowie i Roczynach w Galicyi zachodniej około Przemyśla, Dubiecka i Dynowa w obwodzie Sanockim. Nadto warstwy oolitu koralowego napotykamy między Małogoszczem i Korytnicą a Chmielnikiem, oraz w okolicach Iłży.

Nakoniec formacyę jurasową natrafiamy około Popielan na Żmudzi, tudzież w Rosyi w guberniach Moskiewskiej, Symbirskiej, Włodzimierskiej, Wołogodzkiej i Archangielskiej. d. c. n.

---

# JÓZEF HAYDN.

## ŻYCIORYS I CHARAKTERYSTYKA.

napisał

DR. HENRYK DÖRING.

przełożył z niemieckiego

H. B.

(dalszy ciąg).

Ale Haydn, nie dał się odstraszyć. Wsłuchując się w utwory ówczesnych muzyków przekonywał on się coraz więcej, że pedantyczne trzymanie się reguł, które często jako takie, narzucone tylko przez samowolę, nie jest wcale wystarczającem do stworzenia w muzyce czegoś rzeczywiście dzielnego. Hayde był tego zdania, że tylko to co obraża ucho powinno być w muzyce stanowczo wzbronionem. To, że Haydn, w swoim kwartecie każdemu instrumentowi kazał samodzielnie występować, było nowością na jaką dotąd nikt się jeszcze nie był odważył.

Nad tą charakterystyczną cechą, w kilka lat po śmierci Hajdna (w 1812 r.) świetnie rozpisał się p. Giuseppe Carpani, czyniąc w sposób bardzo dowcipny porównanie kwartetów Haydna z kwartetami jakie były w modzie w owym czasie we Włoszech, i wykazując znaczną różnicę zachodzącą pomiędzy niemi pod względem formy: „Gdy się słyszy jaki kwartet Haydna — mówi Carpani — zdaje się, jakby się było obecnym przy rozmowie czterech dowcipnych osób. *Pierwsze skrzypce*: to miły młodzieniec, który *umie* mówić i z tego powodu najwybitniej określa myśli stanowiące przedmiot rozmowy. *Drugie skrzypce*: to jego przyjaciel, który trzyma się trochę na uboczu i bardzo jest zadowolony, jeżeli tamtemu może podać jaką myśl, albo też jeżeli w jaki inny sposób przyczynić się do rozjaśnienia głównej idei. *Bas* występuje ciężko jako uczony, poważny, ale małomówny mąż. Wszystko cokolwiek powiedzą pierwsze skrzypce, potwierdza on dwoma lub trzema wyrazami; czasami również lakonicznie napomyka o tem co w dalszym ciągu tamte same byłyby wypowiedziały; nadto pilnuje on tego aby myśli nie zanadto się rozprysnęły, aby trzymały się wątka i nie robiły żadnych wybryków. *Altówka* jest trochę gadatliwą babinką. Niewiele ważnego ma ona do powiedzenia, ale chętnie wścibi swe słówko; a gdy czasami towarzysze się zmęczą i nastanie mała pauza, chętnie ją wypełnia. Wreszcie, ponieważ ona jest już nie pierwszej młodości, więcej trzyma się poważnego basu niż skrzypiec, które zawsze chcą same przewodniczyć.“

Do dobrego usposobienia ducha w jakim Haydn pisał swe kwartety nie mało przyczyniło się polepszenie jego bytu pod względem materyalnym. Początkowo brał za lekcye po dwa guldeny miesięcznie. W miarę zwiększającego się rozgłosu jego imienia, powiększała się też i płaca. Miewał teraz lekcye po pięć guldenów miesięcznie. Pierwszem tedy staraniem było postarać się o lepsze mieszkanie, gdyż na przedmieściu (Seilervorstadt), gdzie mieszkał był przez czas dłuższy, został okradzionym prawie ze wszystkiego co miał. Poskarżył się listownie przed ojcem i prosił go usilnie o przysłanie płótna choćby na kilka koszul, ale niestety siedmnastokrajcarowa sztuka była wszystkiem, czem mu sam biedny ojciec mógł przyjść w pomoc. Dobrzy przyjaciele poratowali go trochę. Do ich liczby należał głównie wspomniany już baron Fürnberg, który na seryo zainteresował się smutnym losem Haydna. Ofiarował on mu mieszkanie i stół w Weinzierl, gdzie też Haydn mieszkał przez dwa miesiące.

W roku 1753 fundusze Haydna znów trochę się podreperowały, a przyczyną tego stało się zupełnie przypadkowo zrobiona znajomość z ulubionym wówczas komikiem Kurzem, który zarazem był dyrektorem teatru (Kärntner Theater). Pewnego wieczoru wyprawiono Kurzowi serenadę i pomiędzy innemi utworami jakie grano, zwrócił uwage bardzo dowcipny i oryginalny kwintet. Kurz koniecznie chciał wiedzieć, kto jest autorem tego kwintetu, zbiegł więc na dół po schodach na ulicę, a gdy mu nazwano Haydna, postarał się o osobiste z nim poznanie. On też zaraz poruczył Haydnowi napisanie dla niego opery. Napróżno Haydn chciał się wymówić, powołując się ma swój młody wiek i brak doświadczenia. Nic nie pomogło, musiał siąść do roboty. Tak powstała opera *Krzywy djabeł* (Der krumme Teufel), która miała wielkie powodzenie. Ponieważ jednak w niej odkryto pewne alluzye do ówczesnego dyrektora nadwornego teatru p. Affligio, który kulał trochę, tenże czuł się obrażonym i przez wpływy swoje zdołał wyjednać, że opera już po trzeciem jej przedstawieniu, została zabronioną.

Skromnemu w swoich potrzebach Haydnowi zdawało się teraz, że jest bogatym człowiekiem, gdy mu za tę pierwszą jego próbę na polu dramatycznej kompozycyi wypłacone, zostało honoraryum w ilości dwudziestu pięciu dukatów.

Taki szczęśliwy obrót rzeczy spotęgował w nim znacznie zamiłowanie do pracy. Głównem jednak jego zajęciem pozostało dawanie lekcyj muzyki; komponowanie było rzeczą drugorzędną.

W tym czasie napisał on kilka sonat na fortepian, kilka triów, pieśni i t. p. W tych dziełach swoich, Haydn nie zaniedbał uwzględnić technicznej wprawy osób dla których one były pisane.

Jak dalece chciwość pod względem pieniężnym była mu obcą, dowodem jest to, że rozdarowywał większą część swoich rękopisów. Zdawało mu się, że już jest dostatecznie wynagrodzonym i uczczonym, jeżeli rękopis jaki został przyjętym przez nakładcę. Nakładcy ciągnęli zyski o których Haydn wcale nie wiedział i których się nawet wcale nie domyślał.

Wywdzięczając się za grzeczności jakie mu wyświadczył pewien fryzyer nazwiskiem Keller, w którego domu nawet przez czas niejakiś mieszkał, Haydn udzielał starszej córce Kellera bezpłatnie lekcye muzyki. Skutkiem bliższego z nią przestawania, zawiązał się między nimi stosunek miłosny, który jednak wkrótce przez śmierć panny został zerwanym. Haydn ufał może zbytnio swym siłom, gdy nie mając żadnego stałego utrzymania i będąc przymuszonym żyć wyłącznie z tego, co mu dawała jego praca, zdecydował się pojąć za żonę siostrę zmarłej swej oblubienicy. Wybór jego był nieszczęśliwym. Łagodność i dobroduszność Haydna stała w rażącej sprzeczności z chciwym przewodzenia charakterem żony, która tak mało umiała cenić jego talent, że dla niej — jak to sam później opowiadał — było wszystko jedno, czy jej mąż jest szewcem lub artystą. Przy jego szczupłych dochodach wygórowane potrzeby żony, narażały go na wiele kłopotów. Obchodziła się ona z nim szorstko, jeżeli jej w czemkolwiek odmówił lub jeżeli ograniczał jej skłonność do rozrzutności. Bawiła się w dewocyą i szczególną okazywała szczodrobliwość, gdy chodziło o datki na kościół.

## IV.

Najgorętsze życzenie Haydna, otrzymania stałej posady, którąby mu zarazem zapewniała stałe utrzymanie, spełniło się, gdy w roku 1759 hrabia Morzin zamianował go dyrektorem swojej orkiestry, z płacą 200 guldenów rocznie, ze stołem i mieszkaniem. Zimę 1759 roku, Haydn przepędził w Wiedniu, na lato zaś orkiestra przeniosła się do dóbr hrabiego położonych w bliskości Pilsen w Czechach.

W tym to czasie Haydn skomponował swoją pierwszą symfonią (D dur) *), która się powszechnie podobała.

Po upływie roku jednak okoliczności zmusiły każdego do opuszczenia swego stanowiska, gdyż hrabia Morzin roztrwoniwszy swój majątek, nie mógł dłużej utrzymywać orkiestry.

Wyżej wzmiankowana symfonia zwróciła na siebie w Wiedniu uwagę księcia Mikołaja Esterhazego, który był wielkim miłośnikiem i znawcą muzyki (sam nawet wiele grywał na skrzypcach i na barytonie) i tenże wezwał Haydna w dniu 19 marca 1760 r. na dyrektora swej orkiestry z pensyą 400 guldenów rocznie i innemi emolumentami. Kapela składała się z 31 osób, pomiędzy którémi znajdowali się bardzo zdolni artyści. Dyrektor występował zazwyczaj w granatowym, złotem wyszywanym mundurze.

*) Haydn, w ciągu swego życia napisał 118 symfonij. Inni podają liczbę 141.

Nowe te obowiązki wymagały ciągłej i wytrwałej pracy, której inny mniej silny organizm, nie byłby podołał. Książę Esterhazy oprócz zwyczajnej orkiestry utrzymywał nadto własnych chórzystów kościelnych i cały skład opery. We wszystkich tych kierunkach Haydn musiał teraz być czynnym i trzeba było uczyć, dyrygować a nawet samemu fortepian stroić w orkiestrze.

Zadziwiającą była pilność Haydna. Przy tak wielkiem zajęciu obowiązkowem, znalazł on jednak dość wolnych chwil do licznych kompozycyj. Z tego czasu bowiem datuje się ośmnaście jego niemieckich i włoskich oper, i wiele symfonij, kwartetów, triów, koncertów i pieśni.

Książę Esterhazy zazwyczaj przepędzał zimę w Wiedniu; na lato zaś wyjeżdżał do swego majątku Eisenstadt w Węgrzech. Ulubionym instrumentem księcia był baryton, instrument który dziś już zupełnie wyszedł z użycia. Baryton był podobnym do wiolonczeli, miał u wierzchu siedm strun zwyczajnych, na odwrotnej zaś stronie szesnaście (czasem i więcej) metalowych. Haydn napisał 163 dzieł na baryton, które nietylko w Niemczech ale i zagranicą były rozchwytywane.

W ogóle sława Haydna stała się już głośną. W Hiszpanii Tomasz de Yrjarte w swym poemacie *La Musica* (1779 r.) stawia Haydna jako wzór co do instrumentalnej muzyki. W kilka lat potem (1784 r.) nieszczęśliwy poeta Schubart, który wtenczas przebywał ciężkie więzienie w fortecy Hohenasperg, nazywa Haydna w swojej *Estetyce muzyki*, wielkim mistrzem. „Jego msze, pisze Schubart, noszą na sobie piętno głębokiego ducha, gruntownego pojmowania zasad sztuki i nie kłamanego uczucia. Jego symfonie słusznie cieszą się powszechnem uznaniem w muzykalnym świecie, gdyż są napisane we właściwym temu rodzajowi kompozycyi stylu, łatwo dają się wykonać i tryskają ogniem i zupełnie oryginalnym dowcipem. Przez swe dzieła fortepianowe nakoniec Haydn stał się ulubieńcem wszystkich znawców. Nie tylko są one napisane gruntownie i z uwzględnieniem instrumentu, ale nadewszystko odznaczają się nieporównanym wdziękiem melodyjnych zwrotów. Jego Adagia, Larga, Andante, Ronda i Waryacye zdają się być natchnieniami samej bogini Harmonii. Mało chyba dotąd w Niemczech napisano utworów, któreby tak jak te, były zarówno nauczającemi dla grającego, jak przyjemnemi dla słuchacza. Geniusz oddaje mu hołd a publiczność z zachwyceniem lubuje się jego tonami.“

---

Jeszcze w późniejszych latach Haydn wspominał o tem, jak czuł się szczęśliwym w owym peryodzie swego życia. Wszyscy, którzy go otaczali, dawali mu dowody uznania jego talentu. O swym stosunku do Esterhazego opowiadał: „Książę był zawsze zadowolonym ze wszystkiego com tylko zrobił. Powodziło mi się dobrze. Jako szef orkiestry, mogłem działać jak mi się podobało: mogłem poprawiać, robić dodatki, obserwować co sprawia efekt a co go osłabia. Byłem zupełnie odosobnionym od świata. Nikt z otaczających mnie, nie mógł wpłynąć ujemnie na zaufanie jakie miałem w siebie samego, nikt nie mógł mnie martwić, i tak musiałem koniecznie stać się samodzielnym (oryginalnym).“

To właśnie, co dla niejednego, w podobnym odosobnieniu, mogłoby było stać się przyczyną osłabienia siły tworczości, dla Haydna, który czerpał z głębin prawdziwego natchnienia, było pod wieloma względami czynnikiem pomocniejszym do wyższego ukształcenia jego talentu. Nie usłuchał on też rad przyjaciół, którzy go często zachęcali do odbycia jakiej podróży do Włoch lub do Francyi; nie chciał bowiem wyrwać się z otoczenia, w którem wtenczas żył, a skromność jego nie pozwalała mu wierzyć w sławę, jaką sobie już był zjednał w Europie. Żadną też miarą nie chciał on rozstać się z księciem, który bezustanku dawał mu dowody szczerej przychylności. Jeżeli Haydnowi przychodziła niekiedy myśl zrobienia jakiej większej wycieczki, zaraz ją porzucał, jeżeli takowa nie podobała się księciu. Opowiadają, że pewnego razu gdz Haydn chciał na czas dłuższy wydalić się, książę prosił usilnie aby go nie opuszczał, przyczem wcisnął mu do ręki rulon z 25 dukatów.

Haydn jak mógł tak okazywał mu wdzięczność za doznawane ze strony księcia łaski, ale nie zawsze to mu się udawało. Chcąc pewnego razu zrobić księciu niespodziankę, Haydn wprawiał się skrycie w grze na barytonie, którym głównie zajmował się Esterhazy. Po nastąpionym popisie, książę wprawdzie pochwalił biegłość swego dyrektora, ale nie mógł ukryć lekkiego niezadowolenia, z powodu, że znalazł w nim szczęśliwego rywala na ulubionym przez siebie instrumencie. Od tego czasu Haydn powodowany uczuciem delikatności, już nigdy nie dotykał się barytonu.

W ogóle Haydn żył z księciem w jak najlepszych stosunkach. Gdy Haydn po dwakroć przez pożar utracił był całe swoje mienie, książę natychmiast nie proszony o to, pośpieszył z wynagrodzeniem poniesionych strat.

W roku 1770 Haydn niebezpiecznie zachorował na febrę. Gdy już był rekonwalescentem, lekarze zalecili mu zupełne wstrzymanie się przez czas jakiś od zajmowania się muzyką. Z największą trudnością przyszło mu jednak zastosowanie się do tego przepisu. Żona czuwała nad nim. Pewnej niedzieli wychodząc do kościoła szepnęła ona służącemu, aby pilnował swego pana i nie dopuścił go do fortepianu. Haydn usłyszał to, wysłał służącego za jakimś interesem i powlókł się do fortepianu. Przy pierwszych zaraz uderzeniach, jak sam później opowiadał, myśl całej nowej sonety, błysnęła mu w duszy. Koncert do pierwszej części skończył był jeszcze, zanim powróciła żona. Gdy usłyszał jej kroki, rzucił się pośpiesznie do łóżka i tam dopełnił reszty. Sonatę tę, dla wyróżnienia jej od innych i dla upamiętnienia okoliczności w jakich powstała, umyślnie napisał w tonie z *pięcioma krzyżykami*.

Tak samo *Symfonia pożegnalna* (fis moll), która datuje się również z tego czasu, ma tak-

że swoją historyą. Pomiędzy członkami orkiestry księcia Esterhazego było kilku żonatych, którzy podczas lata gdy książę przemieszkiwał na wsi w zamku Esterhaz, musieli zostawiać swoje żony w mieście Eisenstadt. Wielkie powstało niezadowolenie pomiędzy czułymi małżonkami, gdy pewnego dnia rozeszła się wiadomość, że książę pozostanie na wsi o kilka tygodni dłużej, niż w latach poprzednich. Wszystkim to było wiadomem, że słowo Haydna wiele znaczy u księcia. Udano się więc do niego, aby użył swego wpływu. Sprawa była nie łatwą. Długo medytował on nad tem, jakby się wziąć do rzeczy. Ktoś podał projekt aby wystosować do księcia zbiorową prośbę od całej orkiestry, ale myśl tę wkrótce porzucono, z obawy narażenia się na śmieszność.

Wtenczas Haydn postanowił napisać symfonią, w którejby jeden instrument po drugim umilkał. Żart ten udał się wyśmienicie. Stosownie do umowy, każdy z grających gdy skończył tylko swą partyą, gasił lampę, zabierał swój instrument i nuty, i opuszczał salę. Gdy już ostatnie gaszono światła, książę który odgadł o co tu szło, rzekł w tonie żartobliwym: „Jeżeli wszyscy wychodzą to i my się wyniesmy.“ Przystąpiwszy potem do Haydna, dodał: „Proszę powiedzieć tym panom, że jutro mogą wyjechać.“ I tak się też stało.

Wkrótce potem książę wezwał Haydna do napisania dla teatru w Eisenstadt włoskiej opery. Opera ta: *Acide e Galatea*, była wystawioną po raz pierwszy w dniu 11 stycznia 1763 roku, dla uświetnienia godów weselnych hrabiego Antoniego de Galantha i bardzo się podobała.

W tym też czasie Haydn skomponował operetkę (Marionettenoper) pod tytułem *Philemon e Baucis*, którą cesarzowa Marya Teresa policzyła do swych ulubionych. W późniejszych latach Haydn jeszcze po kilka razy pisywał w tym rodzaju.

W roku 1777 po raz pierwszy wystawiono operetkę *Il mondo della Luna*.

---

W miarę wzrostu sławy Haydna, potęgowały się też intrygi i zawiść jego nieprzyjaciół. Dowodem tego jest następujące zdarzenie. Otrzymawszy wezwanie skomponowania nowej opery dla cesarskiego teatru w Wiedniu, Haydn napisał muzykę do libretta pod tytułem: *La vera Constanza, Drama giocoso* i starał się był zastosować melodye do miary głosu każdego z artystów mających wziąć udział w wystawieniu opery. Tymczasem zarząd teatrów poplątał mu zupełnie szyki przez niewłaściwe rozdanie ról. Haydn obstawał przy swojem, ale napróżno. Intryga niweczyła wszystkie jego zabiegi. Gdy i wdanie się cesarza Józefa II-go, przed którym się żalił, nic nie pomogło, rozgniewany Haydn zabrał partyturę i wrócił do zamku Esterhaz, gdzie też opera w roku 1779 została wystawioną. Józef II znajdował się pomiędzy słuchaczami.

---

Na zapytanie zrobione Haydnowi przez jednego z jego przyjaciół, czyli wyrobił sobie jakie pewne reguły dla wywoływania effektu, lub czy też kieruje się jakim systematem, za pomocą którego tak zręcznie mu się udaje zjednywać sobie poklask publiczności, Haydn odpowiedział: „O takich rzeczach nigdy nie myślałem przy komponowaniu. Pisałem jak tak, mi się zdawało, że będzie najlepiej, a potem poprawiałem podług zasad harmonii. Innych *sztuczek* wcale nie używałem. Czasami pozwoliłem sobie, ale bez obrażenia ucha, odstąpić od zwyczajnych reguł drukowanych po książkach, i zazwyczaj naznaczałem takie miejsca słowami: *con licenza*. Krzyczano na mnie żem strzelił bąka i chciano mi tego dowieść z podręcznika Fuchsa. Zapytałem tedy panów krytyków, czy i ucho ich mówi że to jest błędem? Musieli mi przyznać że nie. I moje ucho także nic nieprawidłowego w tem miejscu nie słyszy, odpowiedziałem im i na tej zasadzie prosiłem o upoważnienie mnie, do grzeszenia nadal, przeciwko niektórym regułom ówczesnym.“

O bezinteresowności Haydna co do honoraryj za jego prace, świadczy anegdotka (1780 roku) jaka łączy się z powstaniem milutkiego utworu znanego pod tytułem: *Die Pudelromanze*. Przyczyna napisania tego romansu była następująca. Pewien oficer w Koburgu, założył się był ze swoim przyjacielem, że jego wierny pudel odszuka talara zgubionego w lesie. Pozwolono psu obwąchać monetę i takowa potajemnie została rzuconą w krzaki. Gdy wrócili do domu, oficer zawołał na pudla i kazał mu poszukać zguby. Ten ostatni dobiegłszy do miejsca gdzie leżał talar, zastał już tamże spoczywającego na mchu krawczyka, który przypadkowo dostrzegłszy na ziemi błyszczącą srebrną sztukę schował ją był do kieszeni. Pudel widząc że siłą nic nie poradzi, uciekł się do podstępu, zaczął się przymilać, zyskał względy krawca i odtąd nie odstępował krawca. Szczęśliwy *bohater igły* był wielce uradowanym z tak pomyślnego dnia, w którym nie tylko znalazł pieniądz większej wartości, ale nadto jeszcze wiernego towarzysza i stróża swojej własności. Będąc dobrej myśli, udał się tedy razem z pudlem do pobliskiej gospody. W nocy pudel przystąpił do wykonania zdradzieckiego planu, zajął się wyszukaniem zguby. Ponieważ jednak wydostanie talara połączone było z niejakiemi trudnościami, przeto bez ceremonii zabrał całą część ubrania, w której pieniądz był ukrytym i w takiem owinięciu przyniósł zgubę oficerowi.

Komiczne to zdarzenie zostało opisane wierszem i narzeczona owego oficera posłała Haydnowi rękopis z prośbą aby tenże zechciał łaskawie dorobić muzykę. Pisała ona w swym liście do Haydna, że jest biedną, że słyszała wiele o jego dobrem sercu, że zapewne raczy przyjąć skromne honoraryum jakie mu składa, to jest dukata w złocie.

Haydn natychmiast zasiadł do stolika, napisał powołany wyżej z tytułu romans i posłał go owej pannie wraz z dukatem, dodając iż za karę że mogła wątpić o jego bezinteresownej grzeczności, musi zrobić dla niego parę podwiązek.

Zadośćuczynienie nastąpiło niezwłocznie; w kilka dni potem Haynn odebrał parę prześlicznych podwiązek wyszywanych białym i czerwonym jedwabiem, z wieńcem z niezapominajek w środku.

Podarunek ten Haydn bardzo starannie zachowywał w swoim zbiorze drogocennych pamiątek.

V.

W roku 1875 pewien kanonik z Kadyxu (*) wezwał Haydna w liście łacińskim aby tenże odpowiedną napisał muzykę do *Siedmi ostatnich słów*, które wyrzekł Zbawiciel umierając na krzyżu. W wielkim tygodniu słowa te bywały objaśniane ludowi w jednym z tamecznych kościołów, którego ściany w tym czasie bywały całkowicie okryte czarnem suknem; całe oświetlenie zaś stanowił tylko jeden gorejący krzyż. Pauzy przy czytaniu miały tedy być zapełnione uroczystą muzyką, któraby wpłynęła na podniesienie powagi nabożeństwa oraz na spotęgowanie skruchy w słuchaczach.

Haydn wywiązał się znakomicie z tego zadania. Nie łatwą było rzeczą bez właściwego tekstu jedynie z własnej fantazyi tak wysnuć siedm po sobie idących ustępów *adagio*, aby takowe nie tylko nie nużyły słuchaczów, ale nadto wzbudzały uczucia odpowiadające słowom umierającego Chrystusa.

Haydn sam przyznawał, że ta kompozycya jest jedną z jego najlepszych. I to dzieło rozpoczął on był według swego zwyczaju napisem: *In nomine Domini* i zakończył takowe dodawszy: *Soli Deo gloria*. Na wszystkich zresztą swoich partyturach zwykł był kłaść te napisy, co świadczyło o jego religijnem usposobieniu, które towarzyszyło mu przez całe jego życie.

Van Swieten, jeden z przyjaciół Haydna zaraz z początku utrzymywał, że tej muzyce łatwo da się podłożyć odpowiedni tekst do śpiewu. Jednak dopiero w kilka lat potem, odpowiednie wiersze niemieckie napisał pewien ksiądz z Passau.

---

Jak dalece Haydn był zamiłowanym *słuchaczem* muzyki, niech posłuży opowiadanie o następującem zdarzeniu:

Pewnego dnia w zimie Haydn przyjechał z Eisenstadt do Wiednia. Mróz był wielki. Otulony w znoszone futerko z nieczesaną peruką i starym kapeluszu na głowie, trudnym on był do poznania. Zaraz po wjeździe do miasta z rzęsiście oświetlonych okien jednego z większych domów (było to mieszkanie hrabiego P.....) doleciały go dźwięki. Dobrze obsadzona orkiestra wykonywała jedną z jego symfonii i co lepsza, grano świetnie.

— Stój! krzyknął Haydn swemu woźnicy, pobiegł na piętro i otworzył drzwi przedpokoju. Ponieważ jednak nikogo nie zastał, wszedł i stanął przy następnych drzwiach

*) Radę, do zniesienia się w tym celu z Haydnem, dał owemu kanonikowi słynny muzyk Luigi Boccherini († w Madrycie 1805 roku). Jeden z pisarzy francuzkich, Cartier, tak się wyraził porównywając Haydna z Boccherinim: „Gdyby Pan Bóg chciał rozmawiać z ludźmi, posługiwałby się tonami Haydna; a gdyby chciał sam słuchać, wybrałby muzykę Boccheriniego.

przysłuchując się muzyce. Gdy nadbiegł służący, tenże zmierzywszy obcego groźnym wzrokiem, zapytał: czego by żądał?

— Chce trochę posłuchać muzyki.

— Tu nie miejsce na to! szorstko odparł wygalonowany drab.

Haydn nie ruszył się z miejsca, ale gdy poczuł że tu nie przelewki i że lokaj grozi mu energicznem zrzuceniem ze schodów, Haydn starał się go udobruchać małym datkiem. Tym sposobem mógł był dosłuchać do końca pierwszego *Allegra*. Podczas powstałej pauzy, w chwili gdy Haydn na nowo za pomocą brzęczących argumentów zaczął targować się o pozwolenie postania trochę dłużej, otworzyły się drzwi salonu i jeden z obecnych poznał Haydna. Natychmiast wybiegło więcej niż dwadzieścia osób i winowajca został w tryumfie wprowadzonym do salonu, gdzie naokoło niego z oznakami największego uwielbienia zaczęli się tłoczyć zarówno ci, którzy go już znali, jakoteż i ci, którzy pragnęli z nim osobiście się zaznajomić.

W tem dał się słyszeć głos: — To nie jest Haydn! To nie może być Haydn! Haydn musi być wysokiego wzrostu i pięknej powierzchowności, ale nie takim małym i niepozornym jak ten jegomość któregoście tam okrążyli.

Wszyscy zwrócili się ku mówcy, ale z największem zaciekawieniem spojrzał sam Haydn na tego człowieka, który w obec tylu świadków śmiał zaprzeczyć jego istnieniu.

Okazało się iż owym niedowiarkiem był pewien ksiądz włoski, który od niedawnego dopiero czasu znajdował się w Wiedniu i wiele słyszał o Haydnie. Ponieważ w pierwszej chwili nie mógł on się był przecisnąć przez grono osób tłoczących się naokoło sławnego kompozytora, wdrapał się na stół, aby stamtąd lepiej go zobaczyć. Obraz jaki księżyna sobie w swojej wyobraźni był utworzył o Haydnie, zupełnie nie zgadzał się z tem co teraz widział. Starano się go wyprowadzić z błędu, ale gdy Włoch na seryo obstawał przy swojem: „że to nie może być Haydn“ wybuchom śmiechu nie było końca.

Dopiero Adagio symfonii, zdołało nadać umysłom inny kierunek i Haydn pozostał do końca symfonii.

---

Ponieważ Haydn czasami dłuższy czas przebywał w Wiedniu, zabierał więc z sobą z Eisenstadt swego służącego, który niezmiernie był do niego przywiązanym i o ile było w jego mocy uprzedzał wszelkie życzenia swego pana. Czasem działo się to w sposób bardzo naiwny. Oto mały przykład. Haydn codziennie w rannych godzinach zwykł był zajmować się komponowaniem lub graniem na różnych instrumentach; przytem zamykał się on na klucz i nie lubił jeśli mu kto przeszkadzał. Wierny sługa wtedy stróżował zwykle w przedpokoju a jeśli kto z obcych się zjawił, szedł na przeciwko niemu na palcach, na migi starał się wytłómaczyć aby zachował się spokojnie, mówiąc zarazem przytłumionym głosem: „Tst! Tst! bo pan pracuje!“

Pewnego razu, przyszło trzech panów. Służący swoim zwyczajem dał znak zachowania się w zupełnej spokojności, kazał im czekać i został głuchym na wszelkie perswazye i prośby. Po kilkakroć zbliżał on się potem do drzwi pokoju Haydna, przykładał ucho i słuchał. Tymczasem kwandrans upływał po kwandransie i panowie ci zniecierpliwieni, już chcieli odejść. W tem zbliża się do nich służący i ze stanowczością w głosie oświadcza: „że z pewnością niedługo będzie koniec, gdyż terazjuż idzie na grubo.“ Poczciwiec zrobił był to spostrzeżenie, że jego pan zazwyczaj na basie kończył swe fantazye. Zaraz też potem zostali wpuszczeni. Haydn dowiedziawszy się o tem co zaszło, razem ze swoimi gośćmi serdecznie się uśmiał z naiwności prostaczka.

Niespodziewana jaka wizyta nie łatwo mogła Haydna w kłopot wprowadzić. Jak słynny przyrodnik Buffon, który zawsze w najwykwitniejszym ubiorze zasiadał do pracy, tak też i Haydn od samego już rana bywał zazwyczaj ubranym, przyczem lubił nosić na palcu pierścień ofiarowany mu przez Fryderyka Wilhelma II-go. Podarunek ten otrzymał on był w r. 1787, zadedykowawszy temu monarsze sześć kwartetów. Na kilka lat przed tem (1784) książę pruski Henryk napisał do Haydna który mu zadedykował sześć kwartetów, własnoręczny list i jednocześnie posłał w podarunku złoty medal ze swoim wizerunkiem.

W miarę wzrostu sławy Haydna, mnożyły się też oznaki uznania. Jeszcze w r. 1780 *Academia philharmonica* w Modenie, przyjęła go do grona swoich członków.

W r. 1785 jego kantata *L'isola disabitata* tamże, doznała wielkiego powodzenia. Dla teatru księcia Esterhazego napisał on: La Fedelta premiata, drama giocoso; Armida, drama eroico; Il Ritorno di Tobia, Azione soara i wiele innych dzieł, które zarazem świadczyły, w jak rozmaitych rodzajach muzyki probował sił swoich.

Ktoby jednak z tej wielkiej liczby kompozycyj chciał wnosić, że Haydn brał rzeczy lekko, wielceby się omylił. „Nigdy nie pisałem prędko, rzekł on pewnego dnia do jednego ze swoich przyjaciół; zawsze komponowałem z rozwagą i nigdy nie szczędziłem pracy. Takie utwory mają też za to pewną trwałość. Znawca zresztą poznać to może zaraz z jednego rzutu oka na partytury.“ Te ostatnie pisane były rzeczywiście bardzo wyraźnie i czysto; mało w nich w ogóle było poprawek. To pochodziło stąd, jak sam Haydn utrzymywał, że zawsze, zanim zabierał się do jakiej kompozycyi, poprzednio przez fantazyowanie na klawikordzie, wytwarzał w sobie odpowiednie usposobienie, potem notował całość w ogólnych zarysach i wybitne miejsca naznaczał kilkoma nutami lub cyframi. „Nie przypominam sobie, mawiał on w późniejszych latach, abym kiedykolwiek zaczynał jakie dzieło nie mając już przed oczami duszy, obrazu całości. Zasiadałem do fortepianu i zaczynałem grać, stosownie do tego, jakim był chwilowo nastrój mego ducha: wesoły czy smutny, poważny lub lekki. Jeżeli mi przyszła jaka myśl, całą moję uwagę kierowałem ku temu, aby ją rozprowadzić, uwydatnić odpowiednio do zasad sztuki. W ten sposób starałem się sobie dopomódz, i to jest właśnie czego brak nowszym kompozytorom. Stawiają oni jeden ustęp obok drugiego i urywają, gdy zaledwie zaczęli. Rzecz prosta, że nic nie pozostaje w sercu, gdy się słucha takiej łataniny.“ Utrzymywał on też, że obok śpiewu, który w nowszych kompozycyach głównie występuje na pierwszy plan, dominować powinny i inne instrumenty.

Haydn nie był wielkim teoretykiem i zawsze czuł się zakłopotanym, jeżeli młodzi kompozytorowie prosili go o wskazanie im reguł, przez których zastosowanie, mogliby w kompozycyach swoich wywołać więcej effektu. On sam nie wiedział wcale, w jaki sposób się jego muzykalne idee rozwijały. Były one natchnieniem jego geniuszu. Podług niego każda kompozycya powinna się koniecznie odznaczać prostą i miłą melodyą, bez ogłuszającego akompaniamentu. Reszta jest rzeczą talentu i natchnienia, nie dających się podciągnąć pod żadne reguły. Każdy kompozytor, mawiał on, powinien pilnie obznajmić się ze śpiewem, szczególnie z włoskim, i oprócz dokładnej ogólnej znajomości wszystkich instrumentów, umieć jako tako grać na każdym z nich. Haydn sam był na wysokości tych wymagań, a nadto, zarówno w grze na fortepianie jak na skrzypcach był wirtuozem. W skromności swej wyznawał on: „Nie byłem sztukmistrzem na żadnym instrumencie, ale znałem siłę i skuteczność każdego.“

d. c. n.

## TEATR.

„Wiele hałasu o nic“ komedya w 5-ciu aktach, Szekspira, grana po raz pierwszy dnia 1-go maja 1876 r., na benefis p. Heleny Modrzejewskiej.

---

Oczekiwaliśmy na benefis pani Modrzejewskiej z pewną ciekawością: co też grać na nim będą, ponieważ przez pewien czas wybór sztuki nie był stanowczo zdecydowanym. Dopiero na kilka tygodni przed benefisem dowiedzieliśmy się, iż na pewno grać będą komedyę Szekspira „Wiele hałasu o nic.“ Dzieło to będące płodem pióra znakomitego dramaturga, mogło być bardzo dobre w czasach i warunkach, pod wpływem których Szekspir go pisał; ale dziś nie może mieć racyi bytu na żadnej scenie, będącej rzeczywistym przybytkiem sztuki dramatycznej. „Wiele hałasu o nic“ przedstawia rzecz, w której trudno jest dopatrzeć się jakiegokolwiek związku tytułu z treścią, jak niemniej podstaw psychicznych w pojedyńczych akcyach tej sztuki.

Claudio, młody hrabia z Florencyi (pan Wolski) i zarazem przyjaciel starszego od siebie Don Pedra, księcia Aragonii (p. Stolpe), przybył w odwiedziny do Leonata, gubernatora Messyny (p. Grzywiński) a ojca pięknej Hero (panna Mazurowska). Pierwsze spotkanie z Hero przeszywa od razu strzałą kupidyna serce Claudiusza, który odtąd wzachwyceniu skierował całą uwagę tylko na swoję bogdankę, schowawszy do pochwy rycerski miecz swój, który przedtem bardzo skwapliwie ostrzył na nieprzyjaciela. Książę Don Pedro spostrzegłszy tę miłość, ulitował się nad sercem Claudia i prosi Leonata o rękę Hero dla swego przyjaciela. Leonato przyjmuje zaszczytne swaty księcia i zobopólnie

naznaczają dzień ślubu, który byłby się niewątpliwie odbył, gdyby nie bradzia intryga Don Juana (p. Rapacki), brata naturalnego Don Pedra. Otóż ten Don Juan, postać djabelnie tragiczna, podobna do wychudłego manekina, czuje jakąś zamstę do brata swego Don Pedra, lecz nieobjaśnia dokładnie z jakich mianowicie powodów, dość na tem, że pała zemstą, zresztą niech się publiczność sama domyśla. Don Juan tedy, ażeby się zemścić na Don Pedrze, nie przebiera w środkach i chwytając pierwszy lepszy podstęp, jaki mu podszepnął jego dworzanin Borachio (p. Łukowicz), uplanowywa za pomocą takowego zniweczyć małżeństwo Claudia z Hero, dla tego jedynie, że Claudio jest przyjacielem Don Pedra, a ten ostatni był przychylny projektowanemu małżeństwu. Jak widzimy w podobnem postanowieniu nie zbyt wiele konsekwencyi dopatrzyć się można, cała bowiem afera wygląda na to jak gdyby *ślusarz zawinił a kowala powiesili*. Lecz idźmy dalej. Borachio namówiwszy Małgorzatę (pani Sawicka), jedną ze sług Hero, ażeby w umówionym czasie przebrała się za Hero i o północy czekała na niego na balkonie, dla odegrania miłosnej sceny, mającej shańbić Hero, uskutecznia to najdokładniej w obec Don Pedra i Claudia, którzy przyprowadzeni byli przez Don Juana. Schadzka ta odbywa się po za sceną, ku wielkiemu zmartwieniu widzów, a Borachio dostaje za swój pomysł i wykonanie takowego tysiąc dukatów od Don Juana, lecz także po za sceną. Claudio wywiedziony w pole przez Don Juana, znieważa Hero w obec zgromadzonego orszaku i w chwili, gdy mieli się połączyć węzłem ślubnym. A cisnąwszy obelgi w oczy tej, którą tak zapamiętale od pierwszego widzenia pokochał, porzuca ją niby na zawsze.

Hero za namową księdza (p. Boczkowski) ukrywa się, a Leonato rozpuszcza wieść, że Hero umarła. W tym samym czasie stróże nocni (pp. Kruszewski i Dąbrowski) łapią łotra Borachio. opowiadającego koledze owym podstępie, jaki mu przyniósł tysiąc dukatów. Don Juan znika rzecz cała się wyjaśnia i Claudio żeni się z Hero. To niby jest główna akcya komedyi; lecz jest i druga także główna tylko mniej tragiczna jak tamta, na której niejako tle zarysowywa się dosyć nawet wybitnie, choć bez wartości psychicznej, a toczy się od pierwszego do piątego aktu.

Beatrice siostrzenica Leonata (p. Modrzejewska), dowcipna, cięta i często ordynarna w języku, lecz młoda i piękna zarzeka się, że nigdy za mąż nie pójdzie, co motywuje niezbyt przyzwoitemi nieraz jak na pannę uwagami i epitetami. Jako pendent do tej nieusprawiedliwionej postaci występuje Benedykt młody szlachcic z Padwy (pan Leszczyński) silnie rubaszny i drwiący niby z całego świata, klnie się na wszystko, że nigdy nie poślubi kobiety za żonę, dla tego, ażeby mu rogi nie urosły. Dwoje tych młodych ludzi niezbyt elegancko stacza z sobą szermierkę językową i prawie się nie nawidzi. Lecz od czegóż jest autor? Autor tedy urządza kilkoma zamachami pióra, że ci ludzie na śmierć zakochują się w sobie, a to dla tego, iż każdemu z nich powiedziano żartem, wyraźnie żartem, że się drugie w niem kocha. Nakoniec żenią się, jak to z samego początku domyśleć się było można. I oto cała treść, cała rzecz komedyi, albo raczej dwie farsy odegrane w jednej komedyi. Widać Szekspir był w dobrym humorze i jak to mówią, przy sztosie, gdy pisał „Wiele hałasu o nic.“ Już to rubaszności, a nawet ordynarnych epitetów nie poskąpił arystokratycznym postaciom swoim. O logikę faktów i podstawy psychiczne także mu nie szło. Nie zaturbował się o to, ażeby usprawiedliwić postać takiego Don Juana i czyn jego, a także mało sobie co robił z tego, że postacie Beatricy i Benedykta nie miałynaj mniejszego podobieństwa do ludzi o zdrowych zmysłach, a tem mniej jeszcze wtedy, gdy na zabój pokochali się dla tego tylko, że z nich zażartowano. Lecz mniejsza o to wszystko, cała ta komedya niewiele ma sensu, lecz jest z humorem i ze znakomitym mechanizmem scenicznym napisaną. Wolno było Szekspirowi, obok znakomitych dzieł swoich, napisać i taką farsę, która zresztą w owym czasie mogła być bardzo na swojem miejscu, bo wtedy nie wymagano tego od sztuki dramatycznej co dziś wymagają, bo wtedy chciano się tylko śmiać na przedstawieniu sztuki, bez względu nawet z czego, byle się śmiać, do czego taka rubaszność, jak w tej komedyi, bardzo się nadawała; zresztą nie wymagano ani wiele logiki, ani zasad estetycznych, ani konsekwencyi z życiem. Szekspir więc nic nie winien i nic mu to nie ujmuje, że napisał podobną farsę. Lecz prędzej dziwićby się wypadało dla czego dziś, na scenie naszej przedstawiono „Wiele hałasu o nic“ i to na benefis pani Modrzejewskiej; kto właściwie doradził znakomitej artystce taki nędzny wybór sztuki, która długo na scenie utrzymać się nie powinna i zapewne po kilku lub kilkunastu przedstawieniach upadnie, chyba dla tego tylko, ażeby rzeczywiście z powodu grania takiej jak ta sztuki na oczekiwanym przez publiczność benefisie, zrobić *wiele hałasu o nic.*

O grze artystów naszych nie mamy co mówić, grano po większej części znakomicie, a p. Modrzejewska z p. Leszczyńskim najlepiej. Benefisantkę bardzo zasłużenie przyjęto hucznemi oklaskami w dowód uznania jej znakomitego talentu i wywoływano ją po 5 lub 6 razy po każdym akcie, obsypując wdzięczną jej postać bukietami. *Feliks Ehrenfeucht.*

---

# MAKSYM

Opowiadanie z obyczajów kreolskich

przez

**Th. Bentzona.**

(dalszy ciąg).

— Kto więc była moja matka? zapytywał swego opiekuna, na co pan Vernon odpowiadał mu zazwyczaj w prostych słowach, że umarła w chwili przyjścia jego na świat, resztę zbywał milczeniem. Bo i na cóż mogło się przydać wtajemniczanie go w kwestyę uprzedzeń rassowych, tak żywotną w Nowym świecie, a pozbawioną wszelkiej racyi bytu w Europie która, przyjęła Maksa, i miała go zachować w swem łonie? Maks którego nic nie kosztowało prawie pozyskanie pierwszeństwa między swemi towarzyszami w szkole, takiego samego doznawał powodzenia w sztuce do której żywe miał upodobanie, czując się zupełnie niezdolnym do jakiego bądź innego zawodu.

Złoto otrzymywał z Ameryki zwykle wprzód jeszcze nim go zapotrzebował; nie zbytkował jednak, w oczach zaś kobiet uchodził za zbyt ujmującego, by się miały troszczyć ojego bogactwo.

— Wróćmy do dawniejszych czasów, kochany Maksie, rzekł pan Vernon, wykazawszy mu niepodobieństwo walki przeciw zakorzenionym przesądom społeczności, w której zjawił się jako przybysz. Przywołaj wspomnień i nie oskarżaj losu, który otworzył przed tobą drogę kwiatami usłaną. Dla czego miałbyś się jej wyrzec? Jakiś kaprys niezaspokojony, jakaś przygoda miłosna, drobnostka słowem, która mogła podziałać tylko na imaginacyę rozpieszczonego jak ty dzieciaka, trochę ciekawości, trochę wspomnień prawie zatartych, i oto co cię skłoniło zaraz do podróży; na małe zadraśnięcie szukałeś heroicznych leków! Czemuż lepiej dla rozrywki nie pojechałeś do Włoch lub do innego kraju? Gdybyś był jeszcze uwiadomił mnie na czas... Ale dowiedziałem się o twem postanowieniu gdyś był już w drodze; list mój, w którym donosiłem ci wszystko to com dziś powtórzyć zmuszony, przybył zapóźno...

I to przyczyna wszystkiego złego! Patrząc na twe nieceremonialne obejście się i swobodę ruchów człowieka wychowanego w obyczajach francuzkich, napojonego zasadami dwóch rewolucyj i, przyzwyczajonego nadto do dobrego wszędzie przyjęcia, Bóg świadkiem jak się lękałem, aby scena która dziś wieczór zaszła nie nastąpiła wcześniej!

— Takim sposobem, pomiędzy wszystkiemi przyjaciółmi mojego ojca nie ma ani jednego, któryby mnie uważał za sobie równego? zapytał młodzieniec podnosząc głowę, którą podczas nie bardzo dorzecznych tyrad pana Vernon trzymał ukrytą w dłoniach. Warga jego wzdęła się pogardliwie i drżała od gniewu. Nigdy im o mnie nie mówił, nigdy nie żądał od nich by przebaczyli mu tę urojoną skazę, sam nawet o niej nie zapomniał, rzucając mi swoje dziedzictwo jakby jałmużnę! Ty sam, panie Vernon...

— Bądźże sprawiedliwym, przerwał tenże, ja cię szanuję jako człowieka, pewien nawet jestem że i inni chętnie by ci podali rękę, gdyby znali twą wartość; jednakże kreole nasi nie bez słuszności żywią nieufność do klasy ludzi, która z niższością afrykanina łączy często występki od nas przejęte; jeśli zaś robią niekiedy wyjątki, to nigdy bez słusznego powodu.

— W samej rzeczy?—Należało więc błagać ich o przebaczenie, pozyskać ich łaskę! Pozostaw mnie samego, panie Vernon. Potrzebuję tego by się obliczyć z własnemi myślami, i przeświadczyć: czy istotnie ciąży na mnie plama, stawiająca mnie niżej od zwykłego zbrodniarza; ten bowiem może przynajmniej ją ukryć... nikczemności swej nie ma wypisanej na twarzy. Może też, rozważywszy rzecz

dobrze, znajdę coś lepszego do zrobienia jak poddanie się z rezygnacyą losowi.

— Ale zobaczymy się jutro? spytał pan Vernon, niespokojny.

— Bezwątpienia, przy śniadaniu, jakeśmy się ułożyli. Czy sądzisz pan że poczucie mojego upadku powinno mię pozbawić apetytu? Z uśmiechem wymuszonym odprowadził swego opiekuna ku drzwiom, potem, zostawszy sam, przechadzał się czas jakiś wzdłuż pokoju krokiem nierównym i ociężałym, nakoniec padł raczej niż usiadł przed lustrem, i długo przyglądał się w niem swej twarzy z jakąś ponurą ciekawością, jakby rysom zupełnie sobie obcym. Lustro odzwierciadlało twarz zupełnie innego człowieka, bynajmniej nie Maksa d'Arcy, z którym żył w tak dobrem porozumieniu, odbijało ono w tej chwili twarz paryasa, dla którego uczuwał litość, nie bez pewnej zarazem pogardy. Otworzywszy szkatułkę wyjął z niej miniaturę pana d'Arcy i porównywał bardzo uważnie ojca z synem; niewątpliwie, pominąwszy uderzające podobieństwo, wszystko przemawiało na korzyść tego ostatniego. Pomyślny często skutek pomieszania krwi dwóch ras odrębnych, uwidoczniał się w nim w całej swej sile.

Cechy rasowe jakie Maks odziedziczył po matce, i które pod innemi, właściwemi dla nich szerokościami mogą mieć nawet swój oryginalny powab, wyrodziły się zupełnie pod północnem niebem. Co do cery, kończył Maks w duchu, to jestem przecie mniej śniady niż ten hiszpan przeklęty,... nie zdaje mi się aby odkrył we mnie choćby ślad typu niewolnika.

Zadrżał, w myśli stanął mu nagle obraz, który tego samego rana wzbudził w nim wstręt i szlachetne oburzenie człowieka wolnego: W obrębie Bank's-Arcade pewien przekupień wystawił na sprzedaż znaczną partyę towaru ludzkiego.

Maks oddalił się ztamtąd tak prędko, jak tylko mu natłok przechodniów pozwolił, zrażony zarówno obrzydłemi wyziewami wydzielającemi się z czarnej gromady, jak i oburzającą wystawą, która mu się przed oczy nasunęła; przyrzekł też sobie przełożyć panu Vernon pewne zamiary filantropijne, względem niewolników z jego plantacyi. Nie domyślał się, że niegdyś własna jego matka była wystawiona na sprzedaż na tej estradzie, oglądana przez zezwierzęciałych nabywców i sprzedana temu z nich który dał więcej!

Tak więc chwilowej fantazyi, płochej i tyrańskiej, z jednej strony, z drugiej biernemu poddaniu się sprzedanego przedmiotu, wydanego bezbronnie na znieważające pieszczoty, był winien swe pokryte hańbą urodzenie; sam nawet mógł być zmuszony do pracy na plantacyi bawełny przez całe swe życie, poganiany tym samem batem, który pozostawił swe ślady na tych bronzowych, połyskujących od słońca plecach, gdyby nie kaprys pana, któremu Maks zaczynał złorzeczyć; chociaż był mu więcej obowiązany niż to sam mógł przypuszczać. Mógłże przebaczyć temu znikczemniałemu despocie, iż krył się przed światem jakby z występkiem ze swemi dobrodziejstwy, do których go zmuszał głos krwi, tem donośniejszy że spóźniony? A zresztą, byłyż to w istocie dobrodziejstwa? Być może, myślał Maksym z goryczą, być może, iż powtarzany tu sobie z ust do ust komunał: że „bydlęta te, stworzone do jarzma, daleko szczęśliwszemi są niżby w stanie wolności być mogły" zawiera istotnie w sobie prawdę? Któż bowiem wpajał w nie kiedy poczucie własnej godności!

Daremnie przypominał sobie słowa pana Vernon, daremnie powtarzał że od niego jedynie zależy wrócić znów do Francyi, gdzie znajdował wszystko, czego mógł zapragnąć: wszelkie dobrodziejstwa płynące z porządku moralnego, których dotąd używał, i których nigdy, jak mniemał, utracić nie mógł. Wszak dość mu było tylko powtórnie przepłynąć ocean, by wylądował, że się tak wyrażę na inną planetę, na której odmienne rządziły prawa, i gdzie niktby się nie domyślił upokorzenia jakie go gdzieindziej spotkało. Ale to gdzieindziej, niestety, było jego krajem rodzinnym; żywa jego wyobraźnia przedstawiała mu go jako raj, z którym teraz nawet w obec przykrej rzeczywistości, trudno mu było się rozstać.

A zresztą choćby stanął na równi z ludźmi najwyżej postawionymi w reszcie świata, mógł żeby kiedy zapomnieć że w pewnym zakątku ziemi, mniejsza już o to jak odległym, zuchwale przywłaszczono sobie prawo pogardzania nim!

— Gdyby mieli słuszność, szeptał, gdybym nie był człowiekiem równym innym, gdyby wreszcie i jej to wmówić zdołali, jej? Ta myśl wyrwała mu łkanie gwałtowne, i wydało mu się, że twarz jego odbita w zwierciadle przybrała nieopisany wyraz dzikiej nienawiści, zwierzęcej prawie, która go tak przeraziła, że uderzeniem pięści zmiażdżył zwierciadło, by odpędzić szkaradne widmo. Ona była obecną wyrządzonej mu zniewadze, należała przytem do nieprzyjaznej mu rasy. Czyją też stronę trzymać mogła? W obec tej strasznej wątpliwości, wszystko było już dlań niczem.

Jeżeli Maks d'Arcy zapomniał prędko o pozostałym w Paryżu przedmiocie swego kapryśnego uczucia, to dla tego, że poznał na pełnem morzu miłość prawdziwą, której urok tak jest potężny, iż od chwili jak gości w naszem sercu, zdaje się nam jakobyśmy nowe rozpoczęli życie.

Delia Hamlin, upodobanie kreolów do pieszczotliwości nadało jej to miłe imię, z takiem uczuciem opiewane przez Tibullusa, Lili, jak ją poufale zwano, także przesiedliła się wcześnie do kraju którego powietrze bardziej sprzyjało jej wątłemu zdrowiu niż klimat panujący w delcie rzeki Mississipi. Opuściła niedawno pensyę, ukończywszy w niej edukacyę pod okiem swojej matki chrzestnej, która nigdyby się była z nią nie rozstała, gdyby śmierć nie rozłączyła ich niespodzianie. Lili powracała smutna jak sierota do rodziców, których zaledwie sobie przypominała. Jej położenie było z pozoru podobnem nieco do położenia Maksyma, którego melancholiczne usposobienie Delii ujęło wprzód jeszcze, nim się spostrzegł na jej piękności. Nieśmiała i dzika prawie w obejściu z wszystkiemi, dała się po maleńku oswoić młodzieńcowi, który podobnież jak ona w żałobie, okazywał jej swoje współczucie przez względy pełne szacunku. Stara ochmistrzyni, która miała się nią zaopiekować w czasie podróży, gdyby choroba morska nie zatrzymał jej na pół umierającej w kajucie przez większą część drogi, nie znalazłaby z pewnością nic do zarzucenia tej serdecznej zażyłości, jaka się stopniowo ustaliła w stosunku dwojga młodych pasażerów. Maksym czuwał daleko lepiej nad panną Hamlin niżby to ona zdołała, a takt z jakim się wywiązywał z tej opieki, pozyskał mu wraz z sympatyą młodego dziewczęcia i szacunek jej opiekunki. Od kilku dni bolesnych, wrażliwa i czuła Lili widziała się osamotnioną na świecie; łzy, których stłumić nie mogła nieraz przerywały jej rozmowę z Maksem, ale źródło ich zaczynało stopniowo wysychać, choć sama tego nie spostrzegała. Odjeżdżając żałowała swojej matki chrzestnej, żal jej było i Francyi znikającej na dalekim widnokręgu; naraz, choć nic się wkoło niej nie zmieniło, uczuła się szczęśliwą, i dziwiła się temu niemało.

Życie na okręcie upoważnia niejako do zbliżeń daleko ściślejszych i częstszych, niż życie towarzyskie w warunkach zwyczajnych; obfituje przytem we wzruszenia, które nastrajają duszę do egzaltacyi. Słowo *miłość* może pozostać niekiedy niewymówionem — i tak też było między Maksem i Lili, — oboje atoli pojmowali je dobrze. Wymieniali między sobą nieme wyznania i przysięgi, wpatrując się w rozbłyskujące na niebieskim stropie gwiazdy, lub spoglądając na krętą wstęgę srebrzystą, którą rozpryskujące się fale za okrętem tworzyły. W chwilach najdokuczliwszego upału, kiedy słońce, w całej swej sile, wzniosło się po nad morzem, a na pokładzie okrętu cisza wypoczynku zalegla, Lili znużona upałem, rozmarzona, z podbródkiem wspartym na dłoni, słuchała wierszy Lamartina które Maks jej półgłosem czytywał przy majestatycznem towarzyszeniu huku fal morskich. Gdy w koło niej wszyscy skarzyli się na długość podróży, zaglądali do mappy i spozierali na chronometr z gorączkową niecierpliwością, ludzie ci wydawali jej się pozbawionymi zdrowych zmysłów. Mało ją to obchodziło gdzie się znajdowała, dokąd płynęła; czuła się zupełnie w swoim żywiole i gdyby to od niej zależało, chętnieby tak płynęła przez całą wieczność. Po obiedzie zbierano się zazwyczaj w sali pasażerskiej, gdzie się bawiono, rozmawiano i palono cygara; Maksym trzymał się na uboczu, sam z swemi marzeniami, którym się tak oddawać lubią zakochani. Z delikatnością niezrozumiałą dla młodej dziewczyny, unikał jej, aby nie dać powodu do złośliwych mniej lub więcej uwag gromadzie próżniaków, którzy tworzyli na tym okręcie prawdziwe małomiasteczkowe towarzystwo. Ale wówczas spostrzegał, że i Lili usuwała się na stronę zamyślona, z wzrokiem zatopionym w niezmierzone przestworza lazuru, odwracając się tylko niekiedy i rzucając na niego spojrzenie, które ją czyniło podobną do Psychy Gerarda.

Lili była jedną z tych wdzięcznych istot, które słabość i potrzeba ciągłej opieki czynią kobietami podwójnie. Raz zaskoczyło ich groźne niebezpieczeństwo; był to dzień trwogi dla wszystkich, dzień rozkoszny dla niej

i dla niego. Samolubny przestrach owładnął każdego, stara guwernantka modliła się wylękła, Lili tymczasem szukała schronienia w saloniku, przy boku tego w kim pokładała zaufanie. W skutku gwałtownych wstrząśnień okrętu, potrącali się o siebie ustawicznie. Lili czepiała się jego ubrania, i za każdem silniejszem pochyleniem okrętu, była pewna że wraz z nim pójdzie na dno otchłani.

Ta ostatnia podróż, przedsiębrana wespół z Maksem, nie przestraszała jej wcale; młodzieniec był również nieczułym na wszystko wyjąwszy blizkość czarownej istoty, która powierzała mu się z tak szczerem i nieograniczonem zaufaniem. Jeśli mu serce biło, to bynajmniej nie z trwogi na widok rozkiełznanych żywiołów, lecz dla tego że na piersi jego wspierała się piękna, wybladła twarz Lili.

I przebyli tak długie godziny napawając się rozkoszą śmierci. Wreszcie uspokoiło się morze. Wycieńczona znużeniem panna Hamlin usnęła na sofie; zwoje rozpuszczonych czarnych włosów ciężarem swym przechyliły w tył jej głowę, i zdawała się uśmiechać przez sen jak małe dziecię. Maksym, którego ręki śpiąca Lili nie wypuszczała z dłoni, dotknął ustami jej włosów, których zwoje zwieszały się do samej ziemi. Nie otworzyła oczów, ale, bądź to że sen nie zupełnie pozbawił ją świadomości zuchwałego postępku Maksyma, bądź też że wspomnienie gwałtownych wzruszeń tego burzliwego dnia nowym jakim napełniło ją niepokojem, i chciała uniknąć wyznania, które zresztą było dla niej zbytecznem, dość że unikała odtąd rozmowy z Maksem i czytania z nim książek na osobności.

Tego ranka, gdy już na widnokręgu ukazały się grzęzkie piaski pobrzeża, Maksym zszedł ją siedzącą na pomoście smutną i trwożliwą, jak w pierwszym dniu ich spotkania.

W około niej wszyscy oddawali się radości na myśl blizkiego wylądowania, ogólne to atoli zadowolenie zdawało się tylko powiększać jej smutek.

— Gotoweś pan uważać mnie za obraną z rozsądku, rzekła, ale radabym tak życie całe spędzić na morzu. Mam przeczucie że jakieś wielkie nieszczęścia czekają mnie na lądzie.

— Dałby Bóg żebyś się pani myliła, odrzekł Maksym z zapałem, a cokolwiek bądź się zdarzy, przypomnij sobie pani że masz przyjaciela.

Lili uśmiechnęła się ocierając oczy.— Zobaczymy się, nieprawdaż?

— Wątpisz pani o tem?

— Powiem mojemu ojcu, jak byłeś pan dobrym dla mnie, i jestem pewna że powita cię z wdzięcznością.

A przytem znajdzie się i powód do złożenia nam wizyty. Przyjdziesz pan oddać mi tę książkę i to mówiąc podała mu mały tomik „Rozmyślań,“ który często odczytywali pospołu. Wszak nie dasz pan na siebie długo czekać, nieprawdaż?

Tysiące myśli których nie śmiał wypowiedzieć cisnęły mu się na usta.

— Kto wie? wyszeptał, czy nie znajdziemy się oboje raz jeszcze na tym okręcie i nie popłyniemy na nim do Francyi?

Lili złożyła ręce wpatrując się w niego. Od tej chwili postanowienie Maksyma było stanowcze. Już wybrał sobie towarzyszkę życia: przyszłą jego żoną miała być Delia Hamlin.

Zwodnicze widmo szczęścia uśmiechnęło mu się raz pierwszy u tych samych wybrzeży, na których później miał tyle wycierpieć!

Byłże to sen? pytał siebie nazajutrz ocknąwszy się ze snu, albo raczej z odrętwienia, które nim owładnęło nad ranem. Spostrzegł się że przepędził noc w ubraniu, i wzrok jego padł na kawałki zwierciadła, które potłukł w przystępie szaleństwa. Byłem niedorzeczny! pomyślał Maks. Z trudnością mógł zebrać myśli, i usiłował przybrać pozory tego przesadnego spokoju, pod osłoną którego człowiekowi pijanemu udaje się niekiedy ukryć swój stan nienormalny. Postanowił zapanować nad swym głosem, ruchami i całą swą powierzchownością, i ubrawszy się z machinalną dokładnością udał się do pani Vernon, która go oczekiwała, bardzo zajęta myślą, w jakim go stanie zobaczy po zdarzeniach dnia wczorajszego, i jak jej przyjąć go wypadało. Maksym wydobył ją z kłopotu i zatrzymał na ustach czcze wyrazy współczucia swą przytomnością, z jaką, natychmiast po wejściu, rozpoczął rozmowę o przedmiotach nie mających najmniejszego związku z jego przygodą.

—Jakże fałszywi są zawsze ludzie tego gatunku!—pomyślała pani Vernon, która, jakkolwiek wielce zacna kobieta, nie mogła powstrzymać się od tej uwagi; pomimo bowiem wpływu jaki nad nią mąż przez lat trzydzieści wywierał, pomimo idei filozoficznych, które, jak się chełpiła, z Europy z sobą przywiozła, i które od czasu do czasu, poddawały jej natchnienie do pięknych tyrad o prawach człowieka bez względu na barwę ciała, pani Vernon nie wahałaby się nazwać murzynem najpiękniejszego w świecie i najlepiej wychowanego młodzieńca, gdyby w genealogii jego znalazła przypadkiem dziadka z wełną na głowie miasto włosów. Miała się za wspaniałomyślną że przypuszczała do swego towarzystwa człowieka tego rodzaju, a gdy się na operze wsparła na jego ramieniu, mniemała że się heroicznie poświęca w imię zasad liberalnych; a jakkolwiek bardzo je głośno wyznawała, tem niemniej jednak przeraziła się swym krokiem zuchwałym. Maksym mówił bez żółci o niebezpieczeństwach uprzedzeń kastowych, i zapatrując się na nie z czysto politycznego punktu widzenia, utrzymywał, że w końcu muszą doprowadzić stany południowe do zupełnej zależności od stanów północnych, skłonniejszych do tolerowania plemiennej równości; tak rozmawiając z panią Vernon, przeszedł z kolei do kwestyi najdrażliwszej ze wszystkich. Wiem, rzekł, że wasi plantatorowie nie żywią osobliwszego wstrętu do niewolnic, i chętnie piękniejsze z nich podnoszą do swego stanowiska, bez żadnego, rozumie się, współudziału sakramentu w tych amelioracyjnych zabiegach; ale czy widziano kiedy, żeby kobieta biała zniżała się do mężczyzny innej barwy, żeby mu rękę oddała?

Mimowolnie i nie zastanowiwszy się do kogo mówi, pani Vernon wzniosła ręce do góry. — Co też panu przychodzi do głowy! zawołała.

— Naturalnie, miałem tu na myśli człowieka wolnego, bogatego i wykształconego, to rozumie się samo przez się.

— Nie, nigdy!... dotąd,... wyjąkała poczerwieniawszy nagle. Być może iż z czasem...

Maksym otarł pot z czoła usiłując się uśmiechnąć.

— Biedna jaka dziewczyna jednakże?...

— Wolałaby stokroć wcale nie pójść za mąż. Zresztą, w obyczajach naszych jest wiele szlachetności rycerskiej. Największe znaczenie w tym razie mają powaby osobiste; wiele dziewcząt bez posagu znajduje tym sposobem mężów. Zastanów się pan tylko, dodała pani Vernon nie bez pewnej ukrytej myśli, przypomniawszy sobie znaczące spojrzenia, jakie dzień przedtem w operze, Maks i Delia posyłali sobie wzajemnie, alboż nie stokroć lepiej odebrać bezpowrotnie nadzieję szaleńcom którzy mogliby ją żywić? Oto naprzykład pan Hamlin, znakomity urzędnik ale niezbyt majętny, ma pięć córek, i wszystkie dobrze zostały wydane za mąż, a ostatnią z nich, tę co z tobą podróżowała, jeszcze przed przybyciem jej obiecano człowiekowi, który o niej sądzić mógł jedynie z portretu i z piękności ej siostr.

Przez chwilę zdawało się Maksowi że wszystkie meble w salonie chwieją się w około niego.

— Czy to partya korzystna? spytał głosem, nad którym zaledwie zapanować był w stanie.

— Drogi Boże! będzie mieć jedną z najpiękniejszych plantacyj bawełny na wybrzeżu Perłowem, a co się tyczy urodzenia, pan de Lora nie ustąpi nikomu. Rodzina jego wiedzie swój ród od sławnego żeglarza w XVI wieku, i jest spowinowaconą z rodziną twego ojca. Henryk jest *gentelmanem* w całem znaczeniu tego słowa i przeniknięty staremi ideami aż do szpiku kości. Otrzymał wychowanie jak każdy plantator, to wszystko już co o nim powiedzieć można. W Nowym Orleanie ma on reputacyę gracza, ale przecież widzimy że małżeństwo leczy mężczyzn z tego błędu młodości; a pewnym być można że przywiąże się do swej żony, bo panna Hamlin jest zachwycającą. Rodzice ułożyli już wszystko.

— Czy w samej rzeczy? zawołał Maks mnąc rękawiczki i wpatrując się w swego kata z tą nieczułością, jaka nieraz budzi się w człowieku, gdy cierpienie jego zaczyna przechodzić granice.

Wszedł pan Vernon; jakolwiek mniej się to po nim widzieć dawało, obawiał się on niemniej od swej żony skutków, jakie na umysł Maksa wywrzeć mogły rozmyślania upłynionej nocy; zawiódł się też tak samo jak ona. Jeżeli młody chłopiec posiadał dotychczas jaką cnotę, to była nią szczerość. Pan Vernon nie zastanowił się nad tem że ofiary prędko nabierają chytrości; ta fatalna wada plemienia przeklętego z którego pochodził, wprawdzie nie rozwinęła się w nim jako przymiot dziedziczny, ale wystąpiła na jaw nagle po doznaniu pierwszej niesprawiedliwości, jednocześnie z nieufnością, drugiem uczuciem charakteryzującem niewolnika.

Zdoławszy zachoować ten pozorny spokój przez cały czas długiej wizyty, Maksym poże-

gnał swych przyjaciół, przebiegł ulicę Kanałową i zapuścił się w starą dzielnicę francuzką, na końcu której mieszkała rodzina Hamlin. Zaopatrzył się w tomik poezyj Lamartina, ucałowawszy go skrycie przed rozstaniem się z nim może na zawsze.

Przed domem widać było ogród, w którym na końcu wysadzanej drzwami magnoliowemi alei, znajdowała się wykwintna *piazza*; Maksymowi zdało się że przez gęste zarośla jaśminu i bzu indyjskiego dojrzał na niej migające białe sukienki i że posłyszał szmer głosów kobiecych; właśnie w tej chwili ukazała się murzynka, i oznajmiała mu że nie ma nikogo w domu. Maksym był nieco rozdrażniony, i dla tego może w uśmiechu który na jej wargach zaigrał, dopatrzył się jakby odcienia szyderstwa; wręczył jej książkę, dołączywszy do niej swój bilet wizytowy. Zaledwie odszedł kilka kroków, spotkał pana de Lora, przechodzącego obok niego z właściwą mu miną tryumfatora, ale wyminął go niepoznany, a może i nie spostrzeżony nawet. Maksym zdaleka wodził za nim oczami: widział jak drzwi, które były przed nim zamknięte, otwarły się dla młodego kreola!

Część dnia Maksym przepędził na przebieganiu miasta, zatrzymując się przed pomnikami i sklepami, z słabą nadzieją spotkania Delii. Łagodna i serdeczna sympatya jaką uczuł z początku do tego dziecka, rozdrażniona przeszkodami, przybrała wszelkie cechy namiętności. Nie pojmował jak mógł był przepędzić z nią dni tyle, a nie powtarzać jej od rana do wieczora że ją kocha. Hamulec jaki na siebie nałożył, wydawał mu się odtąd rzeczą śmieszną i niedorzeczną.

Dla czegóż nie zrozumiał zaraz, że chodziło tu o jego szczęście nieograniczone; dla czegóż nie pojął tego wprzód, zanim spotkało go nieszczęście, którego nic już cofnąć nie mogło? Było to rozumowanie umierającego, który spostrzegł zapóźno że wcale nie korzystał z życia.

Odosobnienie wśród wielkiego a obcego mu zupełnie miasta miało ten dlań dobry skutek, że pozwalało mu oddać się bez przeszkody swym myślom; później przecież pogrążyło go w ponurym jakimś smutku, do którego w części przyczynił się też może odrętwiający wpływ upału. Wszedł machinalnie do otwartego kościoła, powodowany tym instynktem, który każe zwierzęciu szukać cienia. Kościoły w Nowym Orleanie nie odznaczają się szlachetnością architektoniczną naszych europejskich bazylik; ale we wszystkich domach modlitwy, nawet w tych, w których sztuka ludzka nic prawie dla ich upiększenia nie zdziałała, doznajemy dobroczynnego wpływu, znalazłszy w tem tajemniczem półświetle, wśród chłodnej, grobowej atmosfery naw, i tej ciszy niezmiernej, w obec której najmniejszy szmer modlitwy lub szelest lekkiego stąpania po kamiennej posadzce hałaśliwie się rozlegają. Krew Maksyma pod wpływem palącego słońca, krążyła ociężale w jego arteryach; widział przez mgłę różową wielki krucyfiks, ale wzniosły ten symbol naszej religii, niestety! niet oddziałał na to zrozpaczone serce; natomiast u podnóża męki pańskiej uśmiechnęły mu się wszystkie radości tego świata w postaci Delii Hamlin. Poznał ją od razu, pomimo iż piękne swe czarne włosy i wdzięczną kibić pod mantylą ukrywała, a twarz rękoma zasłoniła; odgadł że nie mógł to być kto inny jak ona. Wszak ją tyle razy wzywał! Potęga jego gorących pragnień powinna ją wreszcie była tu sprowadzić!

Zaledwie śmiąc oddychać z obawy aby nie spłoszyć tego radosnego zjawiska, zbliżył się i ukląkł obok niej. Delia powolnym ruchem zwróciła w jego stronę głowę, nie zdziwiona bynajmniej jego widokiem, jakby się również spodziewała go tu ujrzeć; wyraz dziecinny ożywiający zwykle twarz jej znikł był bez śladu, powlekała ją bladość przypominająca wosk przezroczysty, a z drżących jej ust otwartych wymknął się jakiś niewyraźnie wymówiony wyraz, którego Maks nie dosłyszał, bez wątpienia jego imię.

— Czy pani mnie kochasz? — spytał głosem zniżonym i drżącym. — Czy kochasz mnie? — powtórzył — a Delia pojęła, że w tych słowach pełnych żaru, prośby i niepokoju mieściła się kwestya życia lub śmierci.

— W obec Boga, — odrzekła kocham cię! z zapałem, który twarz jej opromienił nadziemską pięknością młodej męczennicy, czyniącej wyznanie swej wiary, ale — dodała — oddal się pan, zwracają na nas uwagę.... Zaklinam cię....

W istocie o kilka kroków za [illegible], za jednym z filarów ukrywała się dozorczyni o miedzianej twarzy, której Maks tylko cień widział.

Oddalił się nieco i pozostał jeszcze chwil kilka nieruchomy, przypatrując się młodej, klęczącej dziewczynie. Ten sam zapał nieustraszony jaśniał na jej twarzy: Maks czuł że Delia należy do niego, i że potrafi się obronić, choćby jej Bóg wie jakie prześladowanie zagrażało; widział że przynajmniej w oczach Lili nic nie stracił, że był dla niej zawsze najdoskonalszym, że był jedynym człowiekiem któregoby wybrać i miłość mu swą, poświęcić mogła. Upokorzona jego dusza dręczona jeszcze przed chwilą, uczuła się swobodniejszą i zdawała się unosić na skrzydłach tej dziewiczej modlitwy, pełna mocy i miłości. Maksym bezwiednie zgiął kolana; Delia widziała go w tej postawie gdy wychodziła z kościoła w towarzystwie nieodstępującej jej na krok służebnicy.

Doznał rozkosznego wrażenia gdy go zasłonka przechodzącej obok Delii z lekka po twarzy musknęła; a na swem czole, na którem jej spojrzenie spoczęło, uczuł jakby pocałunek. Jednak spojrzenie to jaśniejące radością niewymowną, było tylko pożegnaniem,... pożegnaniem ostatniem.

Wróciwszy wieczorem do hotelu, Maksym znalazł list, przyniesiony w jego nieobecności, który brzmiał w te słowa:

— „Tak, kocham cię. Powiedziałam ci to w obliczu Tego, który karze krzywoprzysięztwo; który rozdziela nas dziś na czas jakiś, ale który wcześniej lub później połączy nas na zawsze. Gdybyś był przed chwilą, w kościele powiedział mi: — pójdź! — poszłabym za tobą na koniec świata bez wahania, bez wyrzutów sumienia, nie robiąc sobie nic z przekleństwa rodziców, tak przekonaną byłam że masz prawo robić ze mną co ci się podoba — a Bóg tam był między nami. Jakże bowiem mogą wymagać bym uwierzyła w to, że uczucie moje, które wziął pod swą opiekę, jest występkiem? przeciwnie jest ono tem co we mnie najlepszego; wspomnienia, których mi zabraniają, będą odtąd jedynem szczęściem w mem życiu. Ale co do marzeń o szczęściu jakie znalazłabym przy tobie i przez ciebie, z temi się rozstać potrzeba... Jakże wiele kosztują mnie te wyrazy!

d. n.

---

## BIBLIOTECZKA DOMOWA.

*Kurs przygotowawczy zoologii*, podług metody porównawczej, ułożony przez G. Chmielewskiego, magistra nauk przyrodzonych warszawskiej szkoły głównej. Warszawa, 1876 r.

P. Chmielewski pomnożył naszę literaturę naukową, nowem dziełkiem, a mianowicie zoologią, którą bardzo słusznie nazwał: kursem przygotowawczym, gdyż daje elementarne podstawy nauki, ujęte w pewien system i z tego względu może być wielce użytecznym podręcznikiem dla młodzieży.

W pierwszej części swej pracy, autor posługuje się metodą indukcyjną, przechodzi od szczegółów do ogółu i daje obraz klasyfikacyi zoologicznej, zbierając wymienione rodzaje w gromady. Część druga, czyli tak nazwane przez p. Chmielewskiego tablice, służące do oznaczania rodzajów zwierząt, bardziej zasługujących na uwagę, opiera się na metodzie dedukcyjnej i obejmuje treściwy opis ustroju zwierzęcego, nie zaprzątając się wcale wyszczególnieniem ich gatunków. Z takiego układu książki okazuje się widocznie, że autorowi nie chodziło o szersze poznajomienie młodego czytelnika ze światem zwierzęcym, ale raczej o podanie najpotrzebniejszych wiadomości, dotyczących budowy zwierząt, i pomieszczenie typów zwierzęcych w odpowiednim rzędzie klasyfikacyjnym. Założenia tego, autor dopiął w zupełności; nie starał się obrazowością stylu i zarysami obyczajowemi, bawić młode pokolenie, lecz je uczyć. W klasyfikacyi też autor głównie zawarł swą pracę i wprowadził w niej pewne zmiany, które tu zaznaczyć mi wypada. Po większej części w dziełach elementarnych, dzielimy zwierzęta kręgowe, to jest opatrzone kostnym szkieletem na cztery gromady, a mianowicie: ssaki, ptaki, płazy i ryby. Pan Chmielewski wprowadza tu reformę, gdyż klasyfikuje kręgowce na pięć gromad, rozdzielając płazy na gady i ziemno-wodne. Podział ten w rzeczy samej jest logicznym, gdyż jaszczurek i wężów, niepodobna nazywać ziemno-

wodnemi, a z drugiej strony, żaby do płazów zaliczać, jak to często ma miejsce w książkach zoologicznych.

Podobną zmianę wprowadza p. Chmielewski w dział zwierząt stawowatych, jakkolwiek nawiasowo mówiąc, niepotrzebnie nazywa je stawonogiemi, gdyż nie tylko ich nogi ale i ciało ze stawów jest złożonem. Zwierzęta stawowate, zwykle dzielimy na owady, pająki, raki i robaki, autor zaś tę ostatnią gromadę całkiem usuwa, a natomiast tworzy dział wielonogich, które odnoszono do rzędu raków obrączkowatych. Robaki rozdzielano dotąd na pierścieniowate, sysawki (jak naprzykład pijawka) i glisty, — autor segregując te jestestwa, opiera się nie na ich cechach obyczajowych, lecz na budowie fizycznej, i naturalnie z takiego punktu widzenia, usprawiedliwionym będzie podział na pierścieniowate, okrągłe, płaskie i kołowrotki. Ustrój fizyczny na którym się głównie pan Chmielewski w swej klasyfikacyi opiera, zniewala go niemniej do podziału mięczaków, na głowonogie, jawnogłowe i bezgłowe. Z promieniaków składających się z holoturyj, jeżowców i żagownic, usunięte są przez autora holoturye a natomiast wprowadzone polipy. Gromadę wymoczków korzenionogów i gąbek, dotąd oznaczaliśmy nazwą żyjątek, z powodu ich drobiazgowości i wielce niewykształconego ustroju. P. Chmielewski, nadaje tym jestestwom nazwę zwierząt nieregularnych, wcale nieodpowiednią choćby z tego względu, że termin ten nie jest zgodnym ze znaczeniem jakie określa, ani z puryzmem językowym. Nie myślimy przecież stawiać zarzutu autorowi z powodu zmian przezeń wprowadzonych do klasyfikacyi, gdyż tego rodzaju reforma jest nawet pożądaną. Odnośnie jednak do tablicy rodzajów, znachodzimy w niej terminy na które nie zgadzamy się wcale.

Pomijamy usterkę zapewne korektorską: przy oznaczeniu orangutanga nazwą łacińską simia, zamiast satyrus. Dla czego jednak p. Chmielewski nazywa koczkodanem kota morskiego (Cercopithecus); Gerezę (Colobus) niedołęgiem; Leniucha (Stenops) chodonogiem; Kotolota (Dermoptera) Lotokotem? Po większej części te nazwy znachodzimy w dawnem słownictwie zoologicznem, nic wszakże nie usprawiedliwia ich zatrzymania. Nazwa koczkodan daje nam pewne pojęcie brzydoty, tymczasem małpy te są ze wszech rodzajów najruchliwsze, najzręczniejsze i wcale przystojnej powierzchowności. Gereza sutym płaszczem włosistym przyodziana, nie przedstawia się wcale w postaci niedołęgi. Lieniucha nie wiem doprawdy, dla czego mamy nazywać chudonogim, a kotolota na lotokota przerabiać. Nie mamy nic przeciw temu, że autor nazwał tarsaka, rękaczem, uszaka wielkouchem, a nawet przewiertkę (terebratula) skałowiercem, ale dla czegóż skoczka (dipus) zmienia na trzyszcza; świnkę morską (cavia) nazywa morświnką; Sekretarza (gypogeranus) żurawiosępem; Ćmówkę (pyralis) świecogazem? Zdaje się nam, że nazwa skoczka długonogiego z ogonem giętkim i kiścistym, lepiej określa to zwierzątko niż termin tryszcz, a świnkę morską zna z nas prawie każdy, pocóż jej narzucać jakieś pokrewieństwo z morsami? Gypogeranusa nazywamy sekretarzem dla tego, że ma na tyle głowy pęk piór niby ludzie zajęci sprawami pióra. Należy on do ptaków drapieżnych, a więc do sępów, lecz z żórawiami nie ma żadnego pokrewieństwa, chociaż długie jego nogi czynią go podobnym do ptaków brodzących. Owóż autor z tych zapewne przyczyn nazwał go żórawiosęp. Ćmówki (pyraldae) nazywa p. Chmielewski świecogazami; końcówka ta, pomijając już, że w takim razie termin będzie wyrazem złożonym, a tem samem niezgodnym z duchem naszego języka, jest niewłaściwą. Zarzuty te stawiamy autorowi nie w chęci nicowania jego pracy, gdyż jej układ i obrobienie opartem jest na podstawach naukowych, i pod tym względem zoologia autora jest niezaprzeczenie wielce użyteczną dla młodzieży książką. Zalecamy ją też szczerze rodzicom, gdyż dzieci z niej wiele mogą skorzystać i poznajomić się nieco z tym światem zwierzęcym, z którym ich obznajmi nieźle kurs przygotowawczy zoologii elementarnej autora, objaśniony starannemi rysunkami pomieszczonemi na czternastu litografowanych tablicach.

*Wincenty Niewiadomski.*

---

# ROZMAITOŚCI.

### Naukowe.

— W sali Towarzystwa lekarskiego w Warszawie odbyło się trzecie z rzędu posiedzenie sekcyi biologicznej, na którem między innemi prof. dr. Szokalski mówił „o raptownem siwieniu włosów.“ W rozumowaniu swojem dowodził, że raptowne siwienie włosów nie może być usprawiedliwionem ze stanowiska fizyologicznego; że tego rodzaju siwienie nigdy i nigdzie ściśle obserwowanem nie było i że twierdzenie o raptownem siwieniu jest błędnem.

Dr. Suck mówił, że wypracowanym został projekt urządzenia osobnej komisyi lekarskiej w Warszawie, celem sprawdzania każdego wypadku śmierci, jak niemniej zaprowadzenia statystyki śmiertelności pod względem rodzaju choroby.

### Literackie.

— Przewodnik po Stanach Zjednoczonych i wystawie w Filadelfii, w języku niemieckim, dla użytku wyjeżdżających do Ameryki, sprowadzonym został do księgarń naszych.

— P. Kruziński autor szkoły na fortepian łącznie z p. Gracyanem Ungrem mają rozpocząć od 1-go lipca wydawnictwo gazety *Echo muzyczne*.

— Rozpoczęte przez pana Zinberga i z powodu braku poparcia wstrzymane chwilowo wydawnictwo Skorowidza Królestwa Polskiego, rozpocznie się na nowo.

— Pism peryodycznych w Galicyi wychodzi obecnie we Lwowie 34, w Krakowie 14, w Stanisławie 3, w Kołomyi 3.

— Nakładem Bełzy we Lwowie wyszło dzieło p. t. *Wewnętrzne sprawy Galicyi* przez Teofila Merunowicza, rozbierające między innemi sprawy kultury krajowej, rękodzielnictwa, przemysłu fabrycznego i reformę zarządu krajowego.

— Nakładem p. Koszulki a pod redakcyą znanego współpracownika pism warszawskich p. Wincentego Niewiadomskiego, w roku przyszłym ukaże się po raz pierwszy nowy *Kalendarz dla kobiet.*

— Może nareszcie i Radom doczeka się swego prasowego organu. Z zamiarem bowiem założenia „Dziennika Radomskiego“ nosi się obecnie lekarz miejscowy p. R. i nie myśli podobno skończyć na projekcie tylko.

— Ukazał się światu literackiemu młodziutki autor dramatyczny, mający zaledwie lat trzynaście, nazwiskiem Władysław Łuczyński. Napisał on i wydał dramat w 5-ciu aktach na 35 stronnicach małej 16-ki. Tytuł tego dramatu jest „Litość i Wdzięczność.“ Wybitnym charakterem tej młodocianej pracy są stosunki i uczucia dziecinne. Jest to więc najwłaściwsza sfera jaką ten chłopczyk obrał sobie za przedmiot, co właśnie świadczy dobrze o właściwości jego wychowania. Może kiedyś, skończywszy nauki wyjdzie ta młoda latorośl na dobrego obserwatora życia i zdolnego pracownika pióra. Dziś, nie pozostaje nic innego jak życzyć mu z serca, ażeby się wytrwale i dobrze uczył.

— P. Bałucki znakomity powieściopisarz i dramaturg napisał nową powieść p. t. „W rękach żydowskich.“

— Pismo humorystyczne p. t. „Harap“ wydawane świeżo w Krakowie ukazało się u nas. Ekspedycya główna dla królestwa w księgarni M. Orgelbranda.

— Podobno ma zacząć wychodzić w Petersburgu czasopismo polskie codzienne, poświęcone rzeczom społecznym, literaturze i polityce.

— Ma być wydawaną u nas biblioteka peryodycznie wychodząca p. t. „Skarbczyk literatury powszechnej,“ w której mieścić się mają znakomitsze dzieła literatury krajowej i zagranicznej. Wydawnictwo to ma być bardzo tanie.

— Wyszły na widok publiczny poezye Maryi-Janiny p. t. „Pierwsze fijołki.“

— Przełożone zostało na język polski dzieło dra Fr. Esterlena profesora medycyny przy uniwersytecie w Tübingen p. t. „Człowiek i zachowanie jego zdrowia,“ listy popularne hygieniczne.

— Ukazało się w handlu księgarskim dzieło p. Jana Mittelstaedta. Uwagi ogólne do dzieła: „Nowe ekonomiczne zasady budowy społecznej.“

— P. Michał Szymanowski przełożył znakomite dzieło o bankowości angielskiej p. t. „Lombardstreet.“ Dzieło to wkrótce wyjdzie na widok publiczny.

— Mają wyjść we Lwowie i w Warszawie „Pamiętniki Paska“ w illustrowanem wydaniu. Dawno już należało pamiętnikom tym doczekać się illustracyj.

— Wyszło z druku i jest do nabycia w księgarniach dziełko p. t. „Przewodnik dla fotografujących się“ przez E. Wężyka.

— Wyszedł zeszyt 27 dzieł dramatycznych Szekspira i zawiera dokończenie Hamleta i początek Kressydy.

— P. Feliks Erlicki napisał pracę p. t. „Rys historyczny instytutów rolniczo-leśno-przemysłowych“ w Marymoncie i w Puławach w pięciu okresach od 1820 r. do 1875 r.

— Ukazała się na widok publiczny książka p. t. „Władza i układ państwa“ przez d-ra Oczapowskiego.

### Artystyczne.

— Na korzyść p. Piaseckiego byłego artysty teatrów warszawskich, dotkniętego ciężką chorobą i znajdującego się w nader krytycznem położeniu materyalnem, ma się urządzić niezadługo przedstawienie amatorskie. Reżyseryę przyjął na siebie p. Zygmunt Sarnecki, literat komedyopisarz.

— Komedya „Trzy Flory“ pióra p. Smolińskiej z Chicago, zalecona do grania przez o-

statnią komisyą konkursową krakowską, będzie wkrótce wystawioną w Krakowie.

— Przedsiębierca teatru lwowskiego wystąpił do ks. Karola Jabłonowskiego, Kuratora fundacyi Skarbkowskiej, o rozwiązanie kontraktu z powodu, że sejm galicyjski odmówił mu zapomogi na utrzymanie opery.

— Panna Paschalis daje gościnne występy we Lwowie ze znakomitem powodzeniem. Miejscowi krytycy nie szczędzą jej pochwał a jeden z nich nazywa głos jej prawdziwie fenomenalnym.

— Krakowianka panna Wessely pod przybranem nazwiskiem Karoliny De Lis, występuje z wielkiem powodzeniem w teatrze S. Redegonda w Medyolanie. Na bieżący maj i czerwiec panna W... zaangażowaną została na szereg wystąpień do Londynu.

— Na dzień 7 maja zapowiedzianem było w Sieradzu przedstawienie teatralne amatorskie, na dochód szkoły męzkiej prywatnej o 4 klasach.

— Słynny Thomas kompozytor opery Mignon, dowodzić będzie orkiestrą, która przygrywać będzie w czasie uroczystości otwarcia wystawy filadelfijskiej, naznaczonego na dzień 10 maja.

— Na wystawę towarzystwa zachęty sztuk pięknych przybyły następujące obrazy: Edmunda Medera „Krajobraz wieczorny,“ Kaźmierza Mireckiego „Miłe wspomnienia,“ Stanisława Heymana „Włoch śpiący,“ Tytusa Maleszewskiego „Portret damy.“

— Dochód z koncertu danego przez p. Esipoff w dniu 28 z. m. na korzyść towarzystwa wsparcia artystów muzyki wynosił ogółem rs. 1,258 kop. 65. Wydatki wynosiły rs. 97 kop. 36, czysty więc wpływ wynosił rs. 1,161 kop. 29.

— Na odbyć się mającą wystawę sztuk pięknych w Paryżu w roku bieżącym przyjęty został obraz p. Juliana Maszyńskiego, warszawiaka, „Szlachcic na pokucie“ scena z dzieła Kaczkowskiego p. t. „Grób Nieczujów.“

### Społeczne.

— W Berlinie otwartą niedawno została resursa polska kupiecka. Przewodniczącym jest *Pilawski*, zastępcą *Oborski*, sekret. *Majewski*, kasyerem *Bukowiecki*. Celem resursy: wspólna nauka, wspólna pomoc, pożyczki lub wsparcia w czasie choroby; gry, pogadanki i wspólne zabawy. Zebrania poświęcone zabawie odbywają się zwyczajnie co tydzień w każdy wtorek, a walne zebrania celem załatwienia spraw resursy co pierwszy wtorek po pierwszym każdego miesiąca. Do towarzystwa przystąpiło odrazu członków 22. Resursa zawdzięcza swoje istnienie p. Franke członkowi towarzystwa przemysłowego berlińskiego.

— Starania o urządzenie w Warszawie w roku 1878 wystawy przemysłowo-rolniczej oraz o dozwolenie odbywania takich wystaw stale co lat parę, u władzy właściwej podjęte zostały.

— Spadek po Tadeuszu Kościuszce wynosi 85,400,000 dolarów. Nowym do niego konkurentem jest niejaki pan Józef Węsek b. aktuaryusz dyrekcyi policyi w Krakowie, który jeszcze pod dniem 5 marca 1871 r. wszczął przed sądami sprawę o przyznanie mu prawa do tego spadku.

— Jak się dowiadujemy z „Kuryera Warszawskiego“ zawiązała się w tych dniach w Warszawie wcale ciekawa spółka.

Spółka ta z 4 osób złożona, ma zamiar rewindykować w Anglii, dla rodziny angielskiej osiadłej w kraju naszym od początków zeszłego stulecia, prawa do spadku wynoszącego *dwa miliony funtów szterlingow*, czyli 14 milionów rubli, z zaległemi ma się rozumieć odsetkami. Nieszpetna to sumka, ale aby ją posiąść potrzeba dowieść fałszu jednemu z dwu aktów śmierci jednej i tej samej osoby, sporządzonych w Londynie i w Warszawie.

— Wzorowo pod każdym względem prowadzony nasz Instytut głuchoniemych i ociemniałych, cieszy się ogólnem i zasłużonem nie tylko w Królestwie uznaniem. Z polecenia Rady szkolnej galicyjskiej zwiedzał go niedawno Dyrektor Instytutu lwowskiego Dr. Teofil Gerstman i w skutku tego zaproponował jednemu z nauczycieli posadę Dyrektora a jednej z nauczycielek miejsce przełożonej we Lwowie. Kwestya emerytury dotąd w zakładzie lwowskim nie uregulowana, stanowi przeszkodę w przyjęciu ofiarowanych obowiązków. Obecnie przybyła znów na sześć tygodni do Warszawy w celu obeznania się z metodą uczenia głuchoniemych, używaną w instytucie warszawskim, panna *Lidia Aniskiewicz*, przełożona podobnego zakładu w Odessie i codziennie po kilka godzin spędza w Instytucie, badając gruntownie przedmiot, dla którego tak daleką przedsięwzięła podróż.

— Znany gorący propagator jedwabnictwa p. Adolf Bogucki, powziął szczęśliwą myśl rozpowszechnienia tej gałązki przemysłowej, za pomocą wykładów dostępnych nawet dla młodzieży niższych zakładów naukowych. Tym celem p. Bogucki wystąpił z prośbą do władzy edukacyjnej o pozwolenie mu na wykłady o jedwabnictwie w seminaryach nauczycielskich, i w kwietniu miał już kilkogodzinny odczyt w seminaryum w Siennicy w powiecie Nowo-Mińskim gubernii Warszawskiej.

— Główny nadzorca haremu sułtańskiego, uciułał sobie wcale nieszpetne grosiwo; zmierając bowiem niedawno w Konstantynopolu pozostawił 220,000 funtów sterlingów, czyli 1,760,000 rubli.

Majątek ten według praw tureckich stał się własnością spadkową Sułtana, i wcale mu wypadł podobno na rękę.

— Urzędnicy powiatu Nowo-Mińskiego w gubernii Warszawskiej urządzili kassę pożyczkową i kassę oszczędności. Ustawa jest już zatwierdzoną; daj Boże jak najwięcej instytucyj podobnych.

— Bióro dla szukających pracy egzystujące w Warszawie przy ulicy Nowo-Zielnej pod Nr. 1064*b* podaje następujące sprawozdanie:

| Dział | Posady wakujące | Kandydaci |
|---|---|---|
| 1) Techniczny | 30 | 61 |
| w tej liczbie inżynierów cywilnych | — | 7 |
| 2) Handlowy | 12 | 99 |
| 3) Rolny | 82 | 180 |
| w tej liczbie rządców | 13 | 119 |
| ekonomów i pisarzy | 39 | 28 |
| praktykantów | 2 | — |
| ogrodników | 18 | — |
| 4) Naukowy | 28 | 23 |
| w tej liczbie nauczycieli | 25 | 13 |
| 5) Ogólny | 10 | 228 |

Bióro zaznacza brak kandydatów na następujące posady:

W dziale 1-ym. Kilku mechaników, konstruktorów, dyrektora huty szklannej, technika do postawienia pieca do wypalania wapna na torfie, technika do urządzenia huty szklannej opalanej gazami torfowymi i nadmłynarza.

— Słychać że mają przenieść z Kijowa do Warszawy kontrakty i jarmarki tameczne. Dla Warszawy dobra to nowina, jeśli tylko naprawdę wejdzie w czyn.

— Powzięto zamiar dokonania studyów technicznych co do regulacyi rzek spławnych w Królestwie.

— Muzeum Kopernika w Rzymie otwarte ma być za przyjazdem J. I. Kraszewskiego, któremu głównie oraz doktorowi Wołyńskiemu jak niemniej ofiarom świata słowiańskiego zawdzięczać należy wprowadzenie w czyn w mowie będącego Muzeum.

— „Przyroda i Przemysł“ donosi, że w Czechach dokonano próby zaprawą herbaty, które wypadły zadawalniająco pod względem rozwoju i wegetacyi. Jedynie w smaku okazała się pewna różnica, co prawdopodobnie pochodzi w skutek tego, że w Chinach przygotowują herbatę, uwzględniając gust europejczyków. Szczególne to przygotowanie nazywają tam „Newahiang,“ a zasadza się ono na umieszczeniu świeżo zebranych liści między silnie pachnącemi kwiatami pomarańczowemi, jaśminowemi i t. p., przez co herbata nabywa w pewnem stopniu silnego zapachu. Być może, iż dokładniejsze zbadanie uprawy pozwoli i herbacie europejskiej współzawodniczyć z herbatą chińską i japońską, przynajmniej z pośledniejszemi gatunkami.

Wniosek ten łatwo wyprowadzić można, gdyż herbata nie jest właściwą pewnej tylko miejscowości, albowiem uprawia się w różnych stopniach szerokości i długości geograficznej w pasie ciągnącym się z południa na północ około 400 mil długości.

— Jak donosi gazeta „Eco de Italia“ pewien badacz biblii w Stanach Zjednoczonych Ameryki, wysnuł z księgi Daniela przepowiednią, że *koniec Świata nieodwołalnie* nastąpi dnia 4 lipca r. b. Gdy jednak na ten dzień właśnie przypada setna rocznica niepodległości Stanów Zjednoczonych, którą Amerykanie obchodzić zamierzają bardzo uroczyście, przeto nad Missisipi i Missouri już teraz o to zanoszą modły, ażeby straszliwy ten termin odroczony został bodaj do 5 lipca.

— Komisya wyznaczona do zbadania koryta Wisły, dokonywa czynności tej, badając koryto rzeczone od Zawichosta do granicy pruskiej na przestrzeni wiorst 392.

### Wynalazki.

— Czytamy „w Gazecie Lubelskiej,“ że p. Brochocki zamieszkały pod Haliczem, wynalazł maszynę do sadzenia kartofli, która przy pomocy paru koni i tyluż zręcznych chłopców, w przeciągu godziny może wysadzić 14 korcy kartofli bez względu na ich wielkość.

### Szkoły.

— Rozpoczęte już zostały egzamina „maturitatis“ w ostatnich klasach szkół średnich, to jest: w szkole realnej i w gimnazyach klasycznych.

### Odczyty.

— Pan Floryan Urbanowski przed wyborami do Dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Piotrkowie miał ciekawy odczyt publiczny: „O kredycie publicznym i innych środkach ekonomicznego podźwignienia własności ziemskiej.“

Odczyt będący bardzo na czasie powiódł się panu Urbanowskiemu, bo wypowiedziany by p odczas zjazdu ziemian i obejmował bardzo praktyczy rozbiór i projekt zaradzenia złemu.

Życzyćby należało ażeby podobnie utylitarne odczyty pojawiały się i w innych miejscowościach kraju.

— W uniwersytecie warszawskim odbyły się w dniach 25 i 28 kwietnia, odczyty prof. Aleksiejewa „O rachunku prawdopodobieństw.“

Дозволено Цензурою. Варшава 29 Апреля (11 Мая) 1876 г.

W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769*a* (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski.

Redaktor Henryk Perzyński